Delegatura ... dla Spraw ...

ORZEŁ BIAŁY

ZWYCIĘŻYMY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK V Nr 2 (137) NIEDZIELA, 14 STYCZNIA 1945 R. CENA 10 LIRÓW

ANDRZEJ RUSIŁŁO

OBRONA SIŁY BIOLOGICZNEJ

„Małoduszności niczego nie uzyskamy, a ustępliwości niczego nie osiągniemy".

(Z noworocznego przemówienia premiera Arciszewskiego do Prezydenta Rzeczypospolitej).

W ostatnich miesiącach, odkąd wojska sowieckie wkroczyły z powrotem na terytorium Rzeczypospolitej i zajęły znaczną część jej obszaru, a zwłaszcza podczas ostatniego przesilenia rządowego, wysuwano ze strony zwolenników polityki premiera Mikołajczyka i w jego obronie, argument obrony siły biologicznej narodu. Mówiono, że obrona tej siły biologicznej i liczenie się z realnym faktem okupacji sowieckiej nakazuje zawarcie układu z Moskwą za wszelką cenę i nawet pod znanymi warunkami sowieckimi: oddania połowy terytorium państwowego za iluzoryczne rekompensaty, uczynienia z Rosji głównego gwaranta niepodległości, włączenia Polski do sowieckiej sfery wpływów, przekreślenia konstytucji legalnej i połączenia rządu z komitetem lubelskim.

Argument obrony siły biologicznej narodu jest niewątpliwie ważny i każdemu trafia do przekonania. Wojna obecna zniszczyła jej w Polsce tak wiele, że uratowanie możliwie największego jej zasobu, uratowanie każdej rodziny i każdego człowieka, jest sprawą, z którą musi się liczyć polityka rządu polskiego i która jest ważna dla każdego z nas osobna. Każdy z nas bowiem odczuwa żywo los naszych rodaków w kraju, każdy z nas ma tam kogoś bliskiego. Wszystko to prawda, ale chodzi o to, aby środki tej obrony były skuteczne i celowe, chodzi o to, by nie robiono wielkich poświęceń dla uzyskania wyników nie tylko papierowych i fikcyjnych, ale wręcz odwrotnych, niż były zamierzone.

Główne atuty polskiej polityki w dzisiejszej sytuacji i szczególnie w stosunku do Rosji sowieckiej, okupującej dziś część, a jutro może cały obszar Rzeczypospolitej, to 1) międzynarodowy charakter sprawy polskiej, dzięki któremu polityczna jej przyszłość związana jest z losami całej wojny i z krzyżującymi się interesami całego zespołu mocarstw, mających w stosunku do Polski wyraźne zobowiązania polityczne i moralne; 2) istnienie legalnego i niezależnego rządu Rzeczypospolitej, który posiada swobodę działania, a w szczególności pozostaje poza zasięgiem wpływów i nacisków Moskwy; 3) armia polska, będąca w dyspozycji rządu i służąca wyłącznie celom i interesom polityki narodowej. Jeśli się chce mieć jakiekolwiek realne gwarancje i jakiekolwiek środki nacisku na państwo godzące w nasze interesy, a zwłaszcza na okupanta wojennego ziem polskich, nie wolno przede wszystkim tych atutów wypuszczać z ręki.

Otóż wiadomy układ z Rosją przewidywał wypuszczenie z ręki wszystkich atutów i oddawał sprawę polską już obecnie i na dalszy okres wojny — w ręce Moskwy. Zwolennicy układu przyznawali, że jest on fatalny i stanowi klęskę, ale nie wierząc w możliwość odwrócenia się losów wojny w dalszym jej rozwoju, uważali, że należy go podpisać w imię „obrony siły biologicznej narodu".

Pierwszym i najważniejszym skutkiem proponowanego nam układu byłoby odesłanie sprawie polskiej charakteru międzynarodowego, zwolnienie innych mocarstw z zobowiązań w stosunku do Polski i uczynienie z niej sprawy między Sowietami a Polską, wewnętrznej kwestii w ramach przyznanej sowietom europejskiej strefy wpływów. Podczas gdy nie podpisawszy takiego układu, jesteśmy w dalszym ciągu pełnoprawnym i pierwszym partnerem światowej koalicji antyniemieckiej, to po jej podpisaniu zeszlibyśmy do rzędu wasala w rękach rządu sowieckiego.

Mówiąc o wartości wszelkiej umowy trzeba przede wszystkim zanalizować partnera, z którym się go zawiera. Inaczej się zawiera układ z człowiekiem uczciwym, a inaczej z notorycznym oszustem, inaczej z człowiekiem wyznającym jakieś zasady moralne, a inaczej z człowiekiem, którego pogląd na świat nie uznaje żadnych zasad moralnych, ani nawet nie zna w swoim słowniku słowa „moralność". Inaczej zawiera się układ z przyjacielem, a inaczej z kimś, kto jest wrogiem śmiertelnym godzącym w byt i istnienie partnera. Z partnerami tego drugiego rzędu nie wolno zawierać układu, po którym wypada pistolet z ręki.

Te same mniej więcej zasady obowiązują w stosunkach pomiędzy narodami.

Związek sowiecki jest państwem według swojej konstytucji i prawa federacyjnym.

(Dokończenie art. na str. 4)

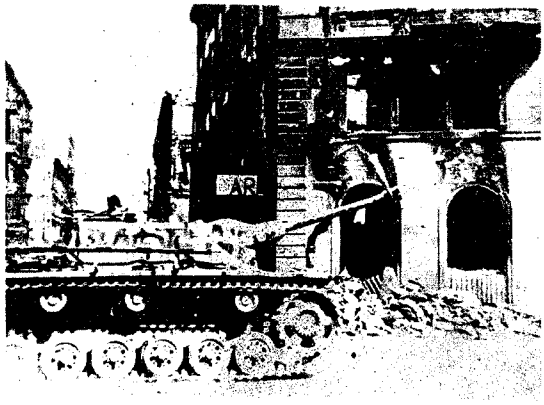

Czołg niemiecki na ulicach Warszawy podczas powstania 1944 r.

...W tym marszu rośniemy w siły...

Noworoczne przemówienie Dowódcy 2. Polskiego Korpusu generała dywizji Władysława Andersa

Wszyscy wiemy, że przed każdą bitwą należy sobie zdać dobrze sprawę z sił i możliwości własnych i przeciwnika, przestudiować dobrze teren, a przede wszystkim widzieć jasno, o co właściwie chodzi. Dla głównego uderzenia należy zebrać możliwie najwięcej sił, przetrzymać kryzysy, które zawsze będą w każdej bitwie oraz wykorzystać powodzenie. Żołnierz będzie się dobrze bił, jeśli będzie miał wiarę w zwycięstwo.

Dziś w szósty wojenny wieczór sylwestrowy przejdźmy więc myślą poprzednie „wojenne sylwestry", zanim złożę wam życzenia z okazji nadchodzącego Nowego Roku.

A więc pierwszy Sylwester, kiedy nad skrwawioną Polską podały sobie w ścisłym sojuszu ręce dwie agresywne potęgi, kiedy obydwie zapowiadały wymazanie państwa polskiego z przyszłej historii, kiedy najlepsi Polacy byli mordowani, wysyłani do więzień i obozów koncentracyjnych, kiedy kto mógł przedzierał się przez wszystkie granice, by dotrzeć do Francji i orężem zadokumentować, że Polska żyje!

A potem najstraszniejszy drugi Sylwester, kiedy naród polski przechodził okrutne męczarnie pod dwoma okupacjami, kiedy prawie cała Europa zajęta była przez Niemców, których potęga dochodziła do szczytu! W tej epoce tylko żołnierz podziemny w Kraju, nasi lotnicy i marynarze mogli brać czynny udział w walce o Polskę. Z wojsk lądowych na obczyźnie Brygada Karpacka rozpoczynała swoją epopeę, a równocześnie formowały się wojska nasze w Szkocji.

Na Nowy Rok 1942 olbrzymia większość z nas zbierała się w Buzułuku, Tatiszczewie i Tocku po cudownym ocaleniu z więzień i obozów. W roku, który nas dzielił od poprzedniego, Armia Krajowa okrzepła, wzrosła na sile i dawała się już dobrze we znaki Niemcom! Brygada Karpacka zdobyła swój klejnot — Tobruk. Niemcy zajęli wtedy całą już Europę, w tym pół europejskiej Rosji. Siłą rzeczy Rosja stała się w tym roku sprzymierzeńcem W. Brytanii, która poprzednio dźwigała na sobie niemal cały ciężar walki z Hitlerem. Radością i otuchą natchnął wszystkie serca polskie doniosły fakt wejścia niemal bezpośrednio przed końcem roku St. Zjednoczonych AP do wojny. Pamiętacie, z jakim wzruszeniem czytaliśmy w śniegach rosyjskich podniosłe słowa orędzia prez. Roosevelta do Narodu Polskiego.

Sylwester Roku 1942 i noc na dzień noworoczny 1943 spędziliśmy w Iraku, łaską Opatrzności wyprowadzeni z Rosji sow. Połączeni już z Brygadą Karpacką zaczęliśmy się szkolić i przygotowywać do roli, którą mieliśmy wypełnić jako nowoczesne wojsko. Oddaliśmy wtedy tysiące młodych naszych kolegów, by wzmocnić nasze bez przerwy bohatersko walczące lotnictwo i marynarkę. Świat był już wtedy po historycznej bitwie pod El Alamein, która stanowiła punkt zwrotny w dziejach wojny. Bitwa ta została stoczona przez wspaniałą VIII Armię, w której ramach od roku walczy już nasz 2. Korpus. Rozpęd Niemców w Rosji został zahamowany dzięki pomocy materiałowej aliantów udzielanej w najtrudniejszych warunkach przy czynnym współdziałaniu naszej dzielnej marynarki.

Następny wieczór sylwestrowy spędzaliśmy w Egipcie w Quassassin. Dywizja Karpacka wylądowała już wówczas w Italii. Po roku ciężkiej pracy szkolenia byliśmy już gotowi raz jeszcze zadokumentować światu, że Polak bije się o wolność wszędzie, gdzie tylko biją serca polskie.

Rok 1944 przyniósł nowe straszliwe tragedie Narodowi Polskiemu. Bohaterskie powstanie, ale i zniszczenie Warszawy, wojna na terenach polskich, nowa podwójna okupacja, bezbrzeżne cierpienia milionów Polaków, a obok tego dużo bolesnych zawodów, niezrozumienie ducha polskiego przez przyjaciół i równocześnie przejawy małoduszności u niektórych naszych rodaków! W roku tym jednak zarysowuje się już wyraźnie klęska Niemców. Alianci stają mocną stopą na kontynencie, wyzwalając Francję, Belgię i część Holandii. W walkach tych bierzemy czynny udział na lądzie, na morzu i w powietrzu. Ale przede wszystkim tu, we Włoszech, nastąpił pierwszy wyłom w fortecy Hitlera. Siły Zjednoczonych Narodów oswobodziły stolicę świata chrześcijańskiego — Rzym, skąd znowu rozlega się swobodnie głos Namiestnika Chrystusowego.

W swych zwycięskich, ale czasami ciężkich walkach nasz 2. Korpus szedł od Sangro i Volturno poprzez Monte Cassino, Anconę i Linię Gotów, aż doszedł tutaj do wylotu Apeninów. Jak ongiś — krzyże nasze rozsiane w Italii, wskazują światu kierunek naszego marszu żołnierskiego.

Wiemy, że jeszcze wiele trudności jest przed nami, że jeszcze wiele polskiej krwi zrosi obce kraje, zanim ucałujemy naszą świętą ziemię polskę. Ale wiemy też, że w tym marszu rośniemy w siły, że dziś bohaterski Kraj, Pan Prezydent RP, Rząd nasz, i Siły Zbrojne na obczyźnie stanowią jeden granitowy blok w walce o całość i suwerenność Ojczyzny.

Wierzymy, że nasi przyjaciele zrozumieją, że jeżeli święte hasła, o które szósty rok toczy się już straszliwy bój — Honor, Wolność, Sprawiedliwość — mają być zrealizowane, to Polska nie może z tej wojny wyjść pokrzywdzona.

To też dziś ze wszystkich piersi polskich, czy to na wolności, czy w więzieniach, czy w Kraju, czy na obczyźnie, wyrywa się okrzyk pełen nadziei i wiary, okrzyk, którym witamy nadchodzący Rok 1945: Niech żyje cała, wolna i niepodległa Polska!

Z. SEWER

OD ZIELONEJ DYKTATURY DO CZERWONEJ DEMOKRACJI

Uwagi niniejsze skreślone zostały na podstawie relacji naocznego świadka ostatnich wydarzeń w Bukareszcie.
Red.

Rumunia jest krajem najskrajniejszych sprzeczności i kontrastów. Mógł się o tym przekonać niejeden z Polaków, którzy w ciągu tej wojny mieli sposobność krótszy lub dłuższy czas spędzić w tym państwie. Gołębie serca i przysłowiowa gościnność z jednej strony, zaś z drugiej brutalność i zimne barbarzyństwo — to jeden z pierwszych, rzucających się w oczy kontrastów.

Komuż z Polaków, którzy w r. 1939 przekroczyli granicę rumuńską, nie utkwił w pamięci makabryczny widok zastrzelonych bez sądów trupów członków Żelaznej Gwardii („zielonych koszul"), którzy leżeli na centralnych placach miast i miasteczek rumuńskich, wystawieni na widok publiczny przez 48 godzin w skwarze dni rumuńskiego września. Dreszcz wstrętu i odraza dla tego prawdziwie wschodniego barbarzyństwa osłabiły pierwsze korzystne wrażenia doznane z powodu znanej gościnności.

Umiłowanie wygody i niezdolność do poświęceń — to dalsza cecha narodu rumuńskiego. Kłóci się z nią zawziętość i wytrzymałość żołnierza rumuńskiego w walce, do której zostanie zmuszony.

Przemiany polityczne tego kraju w ciągu ostatnich pięciu lat cechują te same sprzeczności, kontrasty, karkołomne zakręty i wstrząsy. Postaramy się przedstawić w skrócie tę ewolucję, której zwłaszcza ostatni, rozgrywający się obecnie etap przedstawia dla nas Polaków szczególne zainteresowanie.

Gdy latem 1940 roku waliły się w gruzy granice Wielkiej Rumunii, nie padł w ich obronie ani jeden strzał i wszystkie czynniki oficjalne położyły swe podpisy pod aktem rozbioru. Konsekwencją rozbioru Rumunii było ustalenie zielonej dyktatury gen. Antonescu i Żelaznej Gwardii w miejsce dyktatury królewskiej Karola II i najściślejsze związanie losów kraju z losami Niemiec. Kolor dyktatury zmienił się wprawdzie, ale nie zmieniły się metody. Ci, którzy niedawno wydawali rozkazy tępienia przywódców „zielonych koszul", padali teraz sami ofiarami zielonego terroru. Z podziurawionymi od kul głowami znalezione zostały w lasach trupy ludzi tej miary, co Nicolas Iorga, najpoważniejszy historyk rumuński, Virgil Madgearu, najtęższy rumuński ekonomista i wielu innych.

W niespełna dwa miesiące później gen. Antonescu strzelał na odmianę do swych niedawnych współpracowników, zbuntowanych członków Żelaznej Gwardii.

„Kiedyż wasza kolejka?" — myślał przyzwyczajony do rumuńskich kontrastów spokojny „człowiek z ulicy" — o nowych władcach Rumunii, którzy z gen. Antonescu na czele, ustanawiali w styczniu 1941 r. rządy dyktatury wojskowej.

Cztery lata trzeba było czekać na zmierzch zielonych bogów. Dopiero w początkach r. 1944 pod wpływem załamania się frontu niemieckiego na wschodzie zatrzeszczały fundamenty dyktatury i siły zapomnianej demokracji rumuńskiej poczęły się szykować do startu. Przyznać trzeba, że, choć wojna o odzyskanie Besarabii i Bukowiny była w społeczeństwie bardzo popularna, nikt przez cały czas rządów dyktatury, nie wyłączając czynników miarodajnych, nie wierzył w szczerość sojuszu z Niemcami. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że prędzej czy później musi dojść do zmiany orientacji politycznej czy to z aprobatą czynników rządzących, czy bez tej aprobaty.

Gdy wczesną wiosną 1944 r. armie sowieckie dotarły do granic Rumunii, sprawa zmiany tej orientacji i wycofania się z wojny nabrała po raz pierwszy realnych kształtów.

Wbrew powszechnemu oczekiwaniu jednak do przewrotu na wiosnę 1944 r. nie doszło. Marsz. Antonescu po wizycie u Hitlera uznał widocznie wycofanie się z wojny w tym czasie za zbyt ryzykowne. Od tego momentu stało się wszakże jasne, że zmiana orientacji politycznej może być dokonana tylko przez czynniki stojące poza sferami rządzącymi. Dzięki oparciu, jakie znaleźli przywódcy opozycji w połacu królewskim, akcja spiskowa została skoordynowana i przyspieszona. Latem 1944 r. utworzony został za aprobatą króla Michała t. zw. Blok demokratyczny, w którego skład weszły dwie t. zw. partie historyczne, t. j. partia chłopska (Maniu) i liberalna (Bratianu), oraz dwie partie lewicy t. j. socjaliści (T. Petrescu) i komuniści (Patrascanu). W połowie sierpnia 1944 armie sowieckie uderzyły niespodziewanie i przerwały front rumuński. Odtąd wypadki potoczyły się bardzo szybko.

W dniu 23 sierpnia w godzinach popołudniowych przechodnie mogli zaobserwować niezwykły ruch samochodów przed pałacem królewskim w Bukareszcie. To czołowi członkowie rządu z marsz. Antonescu na czele wezwani przez adiutanta królewskiego, gen. Sanatescu, na narady do króla, przekraczali progi pałacu nie przeczuwając, że już nigdy nie wyjdą stamtąd jako ludzie wolni. W pałacu przyjmował ich oddział gwardii królewskiej i odprowadzał jako więźniów do... podziemi. Jednym z tajnych wejść pałacowych przybywali równocześnie przywódcy partyj Bloku demokratycznego, aby dopełnić ostatecznych formalności związanych z dokonaniem przewrotu. Ulicami stolicy przeciągały tymczasem oddziały wojska rumuńskiego, zajmując pozycje bojowe na peryferiach miasta i obsadzając gmachy instytucyj użyteczności publicznej.

O godz. 22.30 słuchacze radia rumuńskiego skamienieli po prostu z wrażenia, gdy po zwyczajnej serii komunikatów wojennych niemieckich, speaker zapowiedział nadanie ważnego dla kraju komunikatu i za chwilę dał się słyszeć głos młodego króla, który w orędziu skierowanym do narodu oznajmiał zaprzestanie natychmiastowe działań wojennych z mocarstwami sprzymierzonymi, oraz likwidację dyktatury i utworzenie rządu „ocalenia narodowego" pod przewodnictwem gen. Sanatescu, w oparciu o cztery stronnictwa Bloku demokratycznego, których przywódcy weszli w skład rządu jako ministrowie stanu.

Entuzjazm w kraju był duży. Rumuni łatwo ulegają entuzjazmowi, a przy tym są narodem o dziecinnej wprost naiwności politycznej. Wydawało im się, że akt 23 sierpnia nie tylko kładzie kres wojnie i dalszym ofiarom, ale także przeobraża Rumunię z kraju zwyciężonego w zwycięski. Oczekiwano z godziny na godzinę lądowania ogromnych sił anglo-amerykańskich.

Rozczarowanie nie dało na siebie czekać długo. Już na drugi dzień Niemcy, którzy opanowali lotniska stołeczne, rozpoczęli bombardowanie Bukaresztu, które trwało prawie bez przerwy przez 2 dni i 2 noce, wyrządzając miastu ogromne szkody. Równocześnie wojska niemieckie, którym nie utrudniano wyjścia z miasta z bronią, skoncentrowały się na północ od Bukaresztu i zaczęły atak na stolicę. Rumuni bili się doskonale i po czterech dniach opanowali sytuację, biorąc kilka tysięcy Niemców do niewoli i zdobywając wiele sprzętu wojennego. Podobny był przebieg wypadków w innych miastach, gdzie Niemcy próbowali stawiać opór. Trzeba bezstronnie stwierdzić, że Rumuni własnymi siłami oczyścili prawie cały kraj z Niemców i że moskiewskie salwy z okazji „zdobycia" poszczególnych miast rumuńskich były zwykłym bluffem. Gdy jednak w dniu 30 sierpnia zamiast oczekiwanych Amerykanów wkraczały do Bukaresztu pierwsze oddziały sowieckie, zaczął się dla narodu rumuńskiego okres nowych, nieraz bardzo przykrych rozczarowań...

Narazie wszakże nowy rząd gen. Sanatescu nie szczędził wysiłków, aby po opanowaniu sytuacji militarnej zorganizować kraj na nowych podstawach, zacierając ślady i skutki czteroletniej dyktatury. Zadanie to okazało się trudniejsze od wypędzenia Niemców z Rumunii. Zaczęło się od sprawy konstytucji.

Ponieważ ostatnia, zawieszona przez Antonescu konstytucja z 1938 roku uznana została zgodnie za niedemokratyczną, powstał spór, czy bardziej demokratyczna jest pierwsza konstytucja królestwa rumuńskiego z r. 1866, czy też pierwsza konstytucja powojenna z r. 1923. Znaleziono prawdziwie salonowe rozwiązanie. Oto ukazał się dekret królewski, przywracający moc obowiązującą obydwu tych konstytucyj (!), z których w rzeczywistości żadna nie mogła znaleźć zastosowania w nowej sytuacji faktycznej.

Zaraz na początku ujawniły się poza tym rysy w sztucznej konstrukcji Bloku demokratycznego, który obejmował tak różne elementy, jak umiarkowanych carnistów i liberałów oraz skrajnie czerwonych komunistów.

Partia komunistyczna w Rumunii — podobnie jak i w Polsce — nie posiadała żadnych poważniejszych wpływów, ani tradycji. Bezpośrednio po przewrocie jednak rozwinęła ona niezwykle ożywioną działalność, przy czym liczba organizacyj politycznych o zabarwieniu mniej lub więcej czerwonym, zawsze jednak bardzo „patriotycznych" i bardzo „demokratycznych" powiększyła się nieoczekiwanie szybko. Zaraz w pierwszych dniach po 23 sierpnia powstała t. zw. „Unia patriotyczna", która działalność swą rozpoczęła od przeprowadzania za wysoką opłatą różnego rodzaju interwencyj w dowództwie sowieckim. Syndykaty robotnicze wystąpiły jako oddzielna organizacja polityczna o zabarwieniu jeszcze bardziej czerwonym, zaś najbardziej radykalny program zaprezentował t. zw. front chłopski. Socjaliści stanęli od początku po stronie komunistów, powiększając do 5 liczbę organizacyj politycznych lewicy. Stało się jasne, że komuniści dążą do zmajoryzowania umiarkowanych stronnictw demokratycznych i rozsadzenia Bloku demokratycznego. Okazji do konfliktu rozwój wypadków nastręczał bardzo wiele.

Pierwsze starcie nastąpiło na tle sprawy t. zw. czystki aparatu państwowego z elementów „legionowo - faszystowskich". Komuniści domagali się natychmiastowych masowych zwolnień urzędników we wszystkich działach administracji i w przedsiębiorstwach oraz utworzenia trybunałów ludowych celem osądzenia „wrogów demokracji", przy czym za wroga demokracji uważany był przez nich każdy, kto nie popierał jednej z pięciu organizacji czerwonej lewicy. Partie chłopska i liberalna, uznając w pełni potrzebę przeprowadzenia czystki, domagały się zastosowania w tej akcji kryteriów objektywnych i prawnych, zaś przeciw specjalnym trybunałom ludowym wysuwały objekcje natury konstytucyjnej. Komuniści domagali się pośpiechu i każdy głos rozwagi określali jako „sabotaż faszystowski".

Jako „sabotażysta" określony więc został minister sprawiedliwości, Capatana, którego zmuszono do dymisji. Ministrowi gospodarki, gen. Potopeanu, przypomniano jego działalność z okresu wojskowej okupacji rumuńskiej w Transnistrii (Zadniestrze). Z piętnem „zbrodniarza wojennego" powędrował on prosto z gabinetu ministerialnego do więzienia. Min. spraw wewn., gen. Aldea, określony został jako „reakcjonista" i „pachołek faszystowski", gdy energicznie przeciwstawił się anarchii wprowadzanej przez bojówki komunistyczne pod postacią t. zw. „wyborów samorządowych" w niektórych gminach wiejskich i kazał aresztować kilku takich samozwańczych „wybrańców ludu", którzy próbowali uzurpować sobie władzę wójtów.

Wreszcie komuniści wypowiedzieli otwartą walkę rządowi, przy którego utworzeniu tak niedawno współdziałali. Pięć partyj lewicy utworzyło t. zw. „front narodowo-demokratyczny", rozbijając tym samym dotychczasowy Blok demokratyczny, zaś przywódcy komunistów i socjalistów złożyli swe mandaty w rządzie. Rozpoczął się długotrwały kryzys rządowy.

Tymczasem terror czerwony począł się wkradać do fabryk i innych instytucyj. Dyrektorów, inżynierów lub pracowników uznanych za wrogów nowej demokracji bojówki komunistyczne nie dopuszczały do pracy, nierzadkie były wypadki samosądów. Niemal codziennie wypędzano na ulice Bukaresztu tysiące robotników uzbrojonych w transparenty, których napisy domagały się natychmiastowego ustąpienia rządu i przekazania władzy „Frontowi narodowo - demokratycznemu". Krzykliwa nielicząca się z kosztami propaganda prześcigała się w licytowaniu się hasłami „patriotycznymi" i „demokratycznymi".

Tymczasem sytuacja gospodarcza Rumunii uległa gwałtownemu załamaniu. Po ustaleniu kursu przymusowego rubla (1 rubel — 100 lei), żołnierze sowieccy rzucili się po prostu na sklepy, wykupując wszelkie możliwe towary. Obowiązek utrzymania armii okupacyjnej nakładał nowe poważne ciężary. Ceny wszystkich artykułów wzrosły w związku z tym niebywale. Czarna giełda i czarny rynek święciły okres dawno nieznanego powodzenia.

Przesilenie rządowe trwało około czterech tygodni. Wreszcie komuniści zrezygnowali z realizacji swych żądań maksymalnych i zgodzili się na nowy rząd koalicyjny. Gdy targ o mandaty przedłużał się, zaszedł fakt, który przyśpieszył niespodziewanie rozwiązanie kryzysu. Oto generał sowiecki Winogradow, ówczesny zastępca przewodniczącego międzyalianckiej komisji kontrolnej, skierował do premiera, gen. Sanatescu, pismo, w którym zarzucał rządowi rumuńskiemu niedbalstwo i złą wolę w wykonywaniu warunków moskiewskiej umowy o zawieszeniu broni.

Pismo było z datą 1 listopada, zaś już 3 listopada powołany został nowy rząd pod przewodnictwem dotychczasowego premiera, gen. Sanatescu, w którego skład weszli przedstawiciele wszystkich organizacyj frontu narodowo-demokratycznego oraz delegaci partyj historycznych (chłopska i liberalna). Przywódcy tych partyj, Maniu i Bratianu, do rządu nie weszli. Komuniści obsadzili stanowiska wicepremiera, min. sprawiedliwości, opieki społecznej, komunikacji i szereg podsekretariatów.

Lecz i ten drugi rząd nie cieszył się długim żywotem. Przyczyną nowego kryzysu była znów sprawa „czystki" i wyborów samorządowych. Choć więzienia wypełniały się ludźmi, z których mało kto wiedział za jakie przestępstwa został pozbawiony wolności, choć wyczerpane zostały wszystkie listy obwinionych o działalność „faszystowską" nie zadawalało to komunistów popieranych przez radio moskiewskie. Drugi rząd gen. Sanatescu podał się do dymisji w pierwszych dniach grudnia.

Na czele nowego rządu stanął gen Radescu (neutralny), komuniści jednak znów zwiększyli swój stan posiadania. Przywódcy partyj historycznych i tym razem odmówili wejścia do rządu. Także temu nowemu rządowi ludzie orientujący się w stosunkach rumuńskich nie wróżą długiego żywota.

W ten sposób odradzanie się demokracji rumuńskiej odbywa się w warunkach, które nie pozwalają oprzeć się wrażeniu, że istnieje pewna z góry przepisana recepta, pewna metoda, która potwierdza się w ewolucji politycznej również w innych wyzwolonych krajach, rzucając się w oczy jako pewnien dobrze obmyślany szablon, przewidujący z wyrachowaniem i dokładnością cele doraźne i odległe. Konsekwencja w realizacji poszczególnych etapów jest zadziwiająca.

Lekcja rumuńska jest bardzo pouczająca szczególnie dla innych krajów „wyzwalanych" przez armie sowieckie.

W miarę, jak zacierane są ostatnie ślady zielonej dyktatury, która nigdy nie tkwiła zbyt głęboko swymi korzeniami w świadomości społeczeństwa rumuńskiego, narzuca się mu brutalnie i nahalnie nowa czerwona „demokracja", równie jak dyktatura obca duchowi prawdziwej demokracji i kryjąca w sobie zarodki nowych nieznanych niebezpieczeństw na przyszłość. Prawdziwi przywódcy polityczni Rumunii i ogromna większość społeczeństwa witają ją chłodno i wykazują dużo odporności.

O tym jednak, czy Rumunia zatrzyma się na tym niebezpiecznym zakręcie swych dziejów i czy zdoła odnaleźć drogę swych właściwych przeznaczeń, zadecyduje nie tylko postawa społeczeństwa rumuńskiego, ale i najbliższy rozwój wypadków na arenie wojennej i politycznej ogólno-europejskiej.

Nowe książki

Już się ukazały i są w przedaży dalsze wydawnictwa „Biblioteki Orła Białego".

Quo Vadis — H. Sienkiewicza — t. I i II — cena 160 lirów, za dwa tomy.

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej — Wydanie Drugie — z nową przedmową Ryszarda Piestrzyńskiego.

Artykuły zebrane — Adolf Bocheński — Cena 50 lirów.

Wspomnienia Starobielskie — Józef Czapski — Cena 50 lirów.

Wracające żagle — Janusz Wedów — poezje — cena 40 lirów.

Przewodnik serdeczny — Bolesław Kobrzyński — poezje — cena 40 lirów.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

WE MGLE

Londyn, 13 grudnia 1944.

Wiele, nawet bardzo wiele rzeczy, o których każdy z nas czytał i słyszał przed wylądowaniem na tej wyspie, zbladło jakoś w oczach naszych. Jesteśmy nieco rozczarowani, reklama bowiem była niekiedy przesadna. Ot, weźmy np. taką mgłę londyńską: siedzę tu od czterech lat z okładem, mianowicie z zimnym okładem, i wszystkiego może dziesięć razy było mi dane oglądać prawdziwą, w przedwojennym gatunku mgłę, gęstą, z angielskiego materiału. Normalnie przedstawia się ona raczej jako namiastka, jako mgła tania, cha z drugiej ręki, więc „second - hand" albo jako „utility fog". Patrząc na nią, mowię sobie, że daleko tej mgle do np. ratrzańskiej albo nawet krakowskiej.

Gdy jednak przyjdzie mgła prawdziwa, solidna, wtedy jest ona po prostu żywiołem, czymś tajemniczym, dzikim, czymś, co nie da się ujarzmić. Biada nawet tubylcowi, który znajdzie się daleko od swego domu! Zdarzyło mi się raz, że krążyłem po ulicy, przy której mieszkam od czterystu kilkudziesięciu dni, i w żaden sposób nie mogłem trafić do bramy. Przypomniał mi się wtedy tytuł znanej książki Boy'a: „Pijane dziecko we mgle", chociaż dzieckiem nie jestem. I właśnie dzisiaj spadła na Londyn mgła taka, że np. teraz, o godzinie drugiej popołudniu, nie widzę domu naprzeciwko. Zielono-żółto-brunatny welon przesłania wszystko. Wieczorem pewnie staną autobusy i zamrze ruch uliczny.

Patrzę na tę mgłę i myślę sobie, że właściwie powinienbym wstrzymać się z mym listem przez jakieś trzy dni, co najmniej do soboty, ponieważ w piątek ma odbyć się dawno zapowiadana, wielka, „polska" debata w Izbie Gmin. O, pieśni gminna!... Jeżeli piszę dzisiaj, czynię to dlatego, że 1.) lubię trzynastkę, 2.) jest okazja do wysłania listu, 3.) nie przykładam tak ogromnej wagi do debaty, 4) jej przebieg i efekt można przewidzieć. Wreszcie, i to może najważniejsze, dostrzegam we mgle jakby światło. Kto wie, może to nawet samo słońce, słońce z pierwszej ręki, słońce nasze własne.

Nastroje Polonii londyńskiej możnaby scharakteryzować najlepiej, posługując się następującym dialogiem:

— Co słychać? Jak pan zareagował na zmianę rządu?

— Spię doskonale od kilku dni.

— Dlaczego?

— Bo wiem, że nie podpiszą.

Nie powinniśmy spać, przede wszystkim zaś rząd nasz nie powinien zasypiać sprawy, ale w przytoczonym dialogu jest sporo prawdy. Jeszcze do niedawna lękiem przejmowała nas myśl, że może stać się coś poza naszymi plecami, że nastąpi trzeci wyjazd premiera Mikołajczyka do Moskwy, albo pierwszy do Lublina, w związku z czym nie będzie już brakowało kropki atramentu nad „i". Dzisiaj nasz spokój wewnętrzny zawdzięczamy głównie świadomości, że decyzja zależy od nas samych, nie od czynników z zewnątrz i nie od ich nacisku. Jeśli ze strony polskiej padnie wreszcie stanowcza, choć najbardziej grzeczna odpowiedź „Nie!", mianowicie takie „nie", które wyłącza jakieś wybiegi, furtki, domysły, wtedy owe czynniki zewnętrzne muszą zrozumieć, że bez nas tej sprawy załatwić nie można inaczej jak tylko jednostronnie. Z trwonionego tak bezmyślnie kapitału moralnego pozostało nam w każdym razie prawo do zgłoszenia veta.

Nasz b. rząd był jak niezbyt trzeźwe dziecko we mgle, macał, szukał, próbował oparcia wszędzie, na wszystkim, tylko nie na prawie moralnym Polski. Nasze niedawne jeszcze przewrażliwienie, stan zapalny, nerwowość, i t.d. wypływały z postawy poprzedniego rządu, który byle uchybienie protokólarne, byle zmarszczenie brwi, podniesiony ton głosu czy zgoła uderzenie pięścią w stół, traktował jako katastrofę kosmiczną i reagował, mówiąc w postawie nie na baczność, ale na usłużność: „Yes, sir!". Była to postawa całkowicie fałszywa. Był to zupełny brak wiary w siłę moralną, z którą liczą się i nasi sojusznicy i mimo wszystko, Rosjanie. Tak jest, nawet Rosjanom, dogadzałoby bardzo, gdybyśmy popełnili samobójstwo. To dziwne, ale i oni uznają niekiedy pozory, dlatego też woleliby, abyśmy własnoręcznie podpisali wyrok śmierci na siebie samych.

W Wielkiej Brytanii samobójstwo, jeżeli jest dokonane po amatorsku i nie uda się, stanowi przedmiot rozprawy sądowej. Samobójca-dyletant czy nowicjusz, który strzeli do siebie i nie trafi, albo zażyje zbyt małą dawką trucizny, staje przed sądem. O ile dopisało mu szczęście, o ile trafił czy wziął odpowiednią dawkę, pada zdawkowe orzeczenie: „Śmierć przypadkowa z powodu zaburzenia równowagi umysłowej". Dotyczy to jednostki, poszczególnych ludzi, jak zaś wygląda sprawa i konsekwencje samobójstwa całego narodu, nie umiem powiedzieć. Zapewne sądy tutejsze nigdy nie miały z czymś podobnym do czynienia i nasz wypadek byłby pierwszy, bez precedensu. W każdym jednak razie byliśmy na jak najlepszej drodze, ponieważ „balance of mind" (równowaga umysłowa) naszego rządu znajdowała się w stanie zaburzenia. Wszystko z powodu mgły. Choć to była mgła wojenna, tańsza, czy z drugiej ręki, rząd nasz nie dostrzegał w niej takich drobiazgów, jak np. wola Kraju, wola wojska, siła moralna, prawo itp.

Nie lubię chwalić na zapas, tym bardziej że sparzyłem się już wiele razy. Dzisiaj na zimne dmucham, ale wydaje mi się, że nowy rząd zachowa spokój i potrafi znieść pewne trudności, czy zgoła afronty. Wskazane jest jak najdalej idące opanowanie nerwów, zwłaszcza że sytuacji naszych gospodarzy nie można zaliczyć do szczególnie łatwych i wdzięcznych. Przeciwnie, jest ona trudna i wysoce żenująca. Powinniśmy to rozumieć. A „rozumieć" znaczy „wybaczać". Mianowicie wybaczać uchybienia protokólarne, zmarszczenia brwi, podniesiony ton głosu i ew. uderzenia pięścią w stół.

Weksle trzeba albo płacić, albo przynajmniej prolongować. Zasada ta obowiązuje także, jeśli idzie o weksle np. teherańskie, na których, szczęśliwym zbiegiem wypadków nie ma naszego żyra. Rząd poprzedni, wbrew swym szczerym i serdecznym chęciom, nie położył podpisu na tych wekslach i odszedł. Odszedł dlatego, że wobec nacisku opinii publicznej nie mógł podpisać, chociaż chciał to uczynić. Dobrze się stało tak, jak się stało. Premier Mikołajczyk byłby podpisał oburącz, premier Arciszewski nie podpisze. A czy nowy rząd utrzyma się? To także zależy nie od czynników z zewnątrz, ale od rządu i od nas samych. Ale, choć możemy spać spokojniej trochę, przecież ani my, ani rząd nie powinien zasypiać sprawy.

Nasi gospodarze ponad wszelką wątpliwość mają dobrą wolę w stosunku do nas. Trzeba im pomóc, zamiast ich pchać do złego. Do niedawna sytuacja była taka, że za nas pracowali nasi np. szkoccy albo katoliccy przyjaciele, których my dezawuowaliśmy, nierzadko podstawiając im nogę. Poprzedniemu rządowi było bardzo nie na rękę publikowanie szczegółów o gospodarce rosyjskiej w okupowanej Polsce, szczególnie o deportowaniu Polaków w głąb Rosji. Wyższa polityka, prawda? Co więcej, starano się zrazić także np. prasę neutralną. Aby nie być posądzonym o gołosłowne zarzuty, przytoczę fakt następujący: dziennikarz szwajcarski, p. Keller, człowiek bardzo oddany sprawie polskiej, odmówił przyjścia na otwarcie walnego zjazdu dziennikarzy polskich. Pytam o powód i otrzymuję odpowiedź, że został obrażony przez naszego b. ministra informacji.

— No, to sprawa, w której my, dziennikarze polscy, nie zawiniliśmy. Niechże pan przyjdzie koniecznie! Przecież pan jest naszym przyjacielem!

— Tak, może ostatnim, którego macie...

Przesadził trochę, ponieważ mamy jeszcze przyjaciół i to przyjaciół prawdziwych, lecz i oni mogą przepaść we mgle, w grubej, gęstej, nieprzeniknionej mgle, w której zamiera wszelki ruch.

Niedawno ukazała się spora broszurka, rejestrująca głosy protestu przeciwko rozbiorowi Polski, przeciwko deportowaniom, przeciwko działalności Komitetu lubelskiego. To piękna antologia prasy szkockiej. Możnaby sporządzić podobny wybór prasy katolickiej, dodając jeszcze głosy inne. Podobno inicjatywa debaty „polskiej" w Izbie Gmin wyszła od naszych przyjaciół.

Niestety, przyjaciele owi nie mają zbyt wiele do gadania, w każdym zaś razie wiemy, co powiedzą. Wdzięczni im jesteśmy za wszystko dobre. Właściwie jest nam wiadome także i to, co powiedzieć mogą ludzie, odnoszący się do nas obiektywnie, albo chłodno, albo wręcz niechętnie. Padną dobre rady, życzliwe ostrzeżenia, namowy albo i groźby. Zapewne nie brak będzie apelu do naszego rozsądku: „Oddajecie jak najwięcej obszaru na zachód od linii Curzona oraz przestańcie wreszcie znęcać się nad Rosją i poniewierać nią! Ona sama chyba najlepiej wie, co może być dla was dobre i zbawienne! Upierając się przy granicach i przy suwerenności, oddajecie najgorszą przysługę waszej sprawie!".

Oni mówią to, co mogą w danej chwili powiedzieć, albo co powiedzieć muszą, my zaś musimy odpowiedzieć: „Non possumus!" Nowy rząd polski miał prasę bardzo kiepską i lodowate przyjęcie. Jest to rzecz zrozumiała i taka, na którą gabinet był w 100% przygotowany. Idealnym rządem w obecnej sytuacji byłby dla pewnego odsetka prasy tutejszej rząd, który podpisałby wszelkie warunki kapitulacji wobec żądań rosyjskich. Każdy inny rząd jest rządem... reakcyjnym.

Gdy niedawno wrogi nam „*The Observer*" umieścił charakterystykę czyli „profil" premiera Arciszewskiego, przeczytaliśmy w pierwszych wierszach to, że nowy prezes Rady Ministrów pochodzi z rodziny szlacheckiej. Wielka łaska Boska, że nie zrobili z Arciszewskiego... arcyksięcia. Jego wspaniała książeczka służby, jego bojowa kariera, jego przynależność do klasy robotniczej, jego nieustanna walka o wolność i to o wolność prawdziwą, preatlantycką, jego pobyt, i to wielokrotny, w więzieniach rosyjskich czy na zesłaniu, wszystko to ustąpiło pierwszeństwa szczegółom o, wprawdzie drobnoszlacheckiem, ale przecież „landlordowskiem" pochodzeniu.

Mgła, mgła panuje, czyli roztapiają się w niej istotne rysy charakterystyczne nowego rządu. Kto nie chce widzieć, ten nie widzi np. wicepremiera Kwapińskiego, choć jest to również bywalec więzień rosyjskich, recydywista sybirski, czerwony jak cynober, karmazyn rewolucji. Kto nie chce widzieć, ten nie dojrzy na stanowisku ministra informacji innego socjalisty, dra Pragiera. Ten zapomni również o takim drobiazgu, że nowy minister spraw wewnętrznych Zygmunt Berezowski spędził ostatnie cztery lata we wnętrzu walki podziemnej, prowadzonej przez Kraj.

We mgle londyńskiej, nawet w tej najgrubszej, nieprzeniknionej, przecież rysuje się wyraźnie jeden kontur: to premier Churchill. Wielki człowiek, mąż stanu w najwyższym stylu, postać z Plutarcha brytyjskiego i wspaniały patriota. Gdy brwi zmarszczy, odzywają się grzmoty. Tak było niedawno, gdy gromił komunistów ateńskich i oszukańczą demokrację, posługującą się bezwstydnym fałszem wyborów czy plebiscytów. Słuchając, nie mogliby śmy powiedzieć za Słowackim:

"Serce bolało tak, jak dzisiaj boli,
Bo coś tam dla mnie jest w tej paraboli...".

Przeciwnie, serce nie bolało ani trochę, bo dużo, dużo było dla nas w tej dalekiej paraboli. Serce nam rosło nawet, chociaż pesymiści twierdzą, że awantura ateńska nie gra na korzyść Polski, ale na jej niekorzyść, ponieważ komunistyczna armia krajowa w Grecji jest tak samo niewygodna dla Wielkiej Brytanii, jak polska niekomunistyczna armia krajowa jest niewygodna dla Rosji na gruncie Polski.

Churchill jest niewątpliwie wielkim człowiekiem. Ale będąc wielkim człowiekiem, jest on mimo wszystko tylko człowiekiem, czyli dzisiaj mówi to, co d z i ś i a j powiedzieć może. Rozumiemy. Lecz z góry wiadomo nam, że właśnie jako człowiek wielki nie pominie on piątkowej okazji i mówić będzie tak samo, jak powiedział w dniu 1 września 1944 roku: „Dzień uwolnienia jest coraz bliższy, wypada więc, byśmy równocześnie złożyli hołd tym wszystkim walecznym Polakom, tak w kraju, jak za granicą, którzy zasłużyli sobie na trwały podziw wszystkich wolnych narodów. Z ich ofiar urodzi się nowa Polska".

Ze słabości, ze służalstwa, z małoduszności nie urodzi się nowa Polska. Rozum, wola i honor mogą tę Polskę stworzyć i odrodzić. One nakazują rządowi, aby odmówił podpisu na akcie nowego rozbioru.

Jeśli zaś są jakieś wielkie naciski idące w tym kierunku, by rząd polski podpisał samobójczy dokument, wypada spytać, czy Karta Atlantycka została podpisana przez jej twórców. Faktem jest, że niedawno senator Chandler pytał w Waszyngtonie, gdzie jest ten wiekopomny dokument i otrzymał odpowiedź negatywną. Tak samo wiele, i to zainteresowanych, urzędów Wielkiej Brytanii nie wie, gdzie znajduje się ten pergamin. Wiadomo, że ujawniono Kartę Atlantycką dnia 30-go października 1941 roku, choć nosi ona datę 14-go sierpnia tegoż roku.

Jest to nie dokument, nie pergamin, ale po prostu maszynopis i to bez podpisów. Ani premier Cburchill ani prezydent Roosevelt nie podpisali tych kilkunastu zdań, bądź co bądź błahych, banalnych i pozbawionych ścisłych definicyj. Nikt nawet nie sfotografował tego niezwykłego „dokumentu", spisanego w dwuch oryginałach na maszynie. Jeden egzemplarz znajduje się w domu przy Downing Street nr. 10 w Londynie, drugi w Białym Domu w Waszyngtonie. Prezydent Roosevelt i premier Churchill nie podpisali Karty Atlantyckiej, ponieważ nie mogli tego uczynić ze względów konstytucyjnych. Przy sporządzaniu Karty Atlantyckiej byli obecni tylko prezydent Roosevelt i premier Churchill. Nie asystował żaden sekretarz, czy urzędnik. Karta Atlantycka jest tylko „uzgodniona" pomiędzy obu mężami stanu, nie podpisana przez żadnego z nich. Im nie wolno było podpisać dokumentu, który stwierdza, że wojna obecna toczy się o wolność, o demokrację, o pokój świata.

Konstytucja polska nie pozwala rządowi polskiemu na podpisywanie żadnych ustępstw terytorialnych. Tym bardziej nie pozwala mu na podpisywanie aktu, który oddałby w niewolę połowę Polski.

Non possumus.

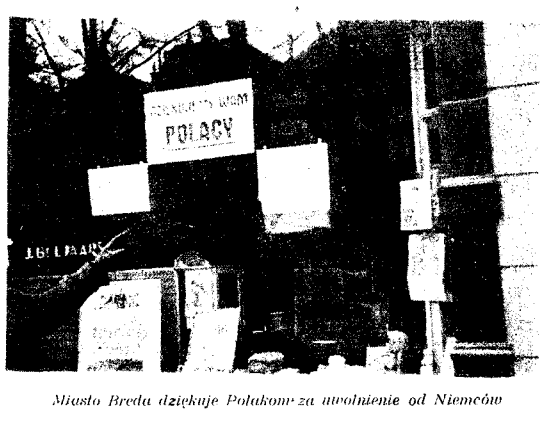

Miasto Breda dziękuje Polakom za uwolnienie od Niemców

OBRONA SIŁY BIOLOGICZNEJ

(Dokończenie art. ze str. 1)

dobrowolnym, zrzeszeniem samodzielnych republik, opartych na najdemokratyczniejszych zasadach na świecie. W rzeczywistości jest najbardziej centralistyczną, totalną formą rządu, pierwowzorem państwa totalistycznego dla późniejszych naśladowców. Filozofia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) nie uznaje pojęcia moralności, nie używa na wet słowa moralność w swej literaturze. Jako partner w układach z Polską Rosja Sowiecka w ciągu dwudziestukilku lat swego istnienia zawarła następujące trzy najważniejsze umowy: traktat ryski w roku 1921, pakt o nieagresji w roku 1933 i układ Sikorski-Majski w lipcu 1941. Wszystkie te układy cynicznie i bez jakichkolwiek ze strony polskiej uchybień zerwała. Rosja Sowiecka jest państwem, które w imię niepodległości Ukrainy, Gruzji, czy Uzbekistanu wyniszczyła siły żywotne tych narodów na skalę tak olbrzymią, o jakiej nie śniło się imperialistycznej polityce caratu. Rosja Sowiecka jest państwem, dążącym do przeistoczenia kultury europejskiej w imię haseł komunistycznych.

Taka jest rzeczywistość, takie są fakty, z którymi polityka nasza musi się liczyć i taki jest partner, z którym były premier Mikołajczyk próbował nadaremnie zawrzeć traktat, mający być podstawą bytu i przyszłości Polski.

Ustaliwszy jakie są zasadnicze i realne atuty polityki polskiej w dzisiejszym położeniu i nakreśliwszy charakterystykę kontrahenta tego układu, kóry miał być zawarty, wróćmy teraz do zagadnienia obrony siły biologicznej narodu. Jak ten układ mógłby wpłynąć realnie na sprawę? Czy wzmocniłby szanse obrony sił żywotnych narodu, czy też może przeciwnie byłby realną utratą wszelkich środków jej obrony?

Dopóki rząd polski może działać swobodnie i dysponuje armią polską walczącą na frontach europejskich obok zachodnich sprzymierzeńców, głos jego ma w świecie niewątpliwe znaczenie i opinia mocarstw demokratycznych liczy się z jego stanowiskiem. Co więcej, jest jasne, że w dzisiejszej sytuacji polityka polska jest bardzo ważnym czynnikiem w koncercie mocarstw, czynnikiem, który stanowi główne oparcie dla ideologicznych celów wojny wyrażonych w Karcie Atlantyckiej. Jest jasne, że Polska swoją nieugiętą walką przeciw wszelkim totalizmom i przeciw imperialistycznej koncepcji stref wpływów, w imię zasady wolności i równości narodów, mobilizuje opinię całego świata, broni całej cywilizacji chrześcijańskiej i stwarza realną szansę powrotu koalicji narodów zjednoczonych do podstawowej, moralnej idei wojny, a więc do realnego zwycięstwa. Do zwycięstwa cywilizacji europejskiej i zarazem do swego własnego polskiego zwycięstwa.

Nie trzeba mieć wiele wyobraźni politycznej, aby zrozumieć, że rząd polski, podpisawszy dobrowolnie układ z Rosją i dostawszy się na teren okupowany przez wojska sowieckie, a rządzony przez bolszewicką policję polityczną, straciłby wszelkie znaczenie i zeszedłby z areny światowej w cień moskiewskiego Kremla.

Nie byłoby już mowy o samodzielnej roli w polityce światowej i o odziaływaniu na bieg wojny. Heroiczna wojna narodu polskiego o rzeczywistą niepodległość państwową, rozpoczęta we wrześniu 1939, zakończyłaby się kapitulacją polityczną, gdy jeszcze zmagania wojenne trwają. Olbrzymie ofiary narodu i wspaniałe bohaterstwo żołnierza, miałoby pójść na marne, zanim z kataklizmu, którego końca jeszcze nie widać, zacznie się rodzić świat prawdziwej wolności narodów i zanim to, co dzisiaj płynne, zacznie krzepnąć w trwały kształt pokojowy. Jest to tak jakbyśmy w tamtej wojnie kładli nasz podpis pod traktat brzeski z lutego 1918, który przekreślał nasze istnienie, a po którym w rok później została tylko smutna pamięć epizodu chwilowej koniunktury wojennej.

Po podpisaniu zaleconego układu z Rosją p. Mikołajczyk, znalazłszy się w Lublinie, musiałby robić to samo, co robią obecnie pod dyktandem Moskwy. Bierut i Osóbka, a z partnera stałby się petentem, tolerowanym o tyle i dopóty, póki byłby posłuszny, póki rolę swoją pojmowałby wzorem Komitetu Lubelskiego, jako wykonywanie instrukcji sowieckich i wysyłanie hołdowniczych depesz wdzięczności do Stalina. Świat odtąd dowiadywałby się o woli rządu polskiego i o położeniu narodu polskiego przez radio Moskwa. O obronie sił biologicznych narodu w tych warunkach nie mogłoby być mowy *).

Sytuacja taka byłaby niewątpliwym sukcesem rządu sowieckiego. Dawałaby Moskwie wolną i niczym niekrępowaną rękę w sprawie polskiej i zarazem usuwałaby z areny światowej rząd polski, czyli groźnego przeciwnika imperializmu sowieckiego. Odtąd okupant sowiecki ziem polskich nie musiałby się już liczyć w ich administrowaniu z niczym, ponieważ zasłaniałby się przed światem dobrowolnym układem zawartym z Polską, o którym twierdziłby, że wykonywuje go lojalnie. Ewentualne sprzeciwy ze strony p. Mikołajczyka z siedzibą w Lublinie nie dochodziłyby już uszu świata cywilizowanego i — utając jego charakterowi — możemy być raczej pewni, że ogłoszonoby go bardzo rychło za „faszystę" i „hitlerowskiego szpiega". Z drugiej strony Związek Sowiecki, likwidując legalne władze Rzeczypospolitej Polskiej, ułatwiłby niezmiernie swoją imperialistyczną akcję międzynarodową. Polska bowiem, czyli państwo, które pierwsze oparłszy się totalizmowi Niemiec i jedyne — obok Jugosławii — w wojnie z Niemcami na terenie Europy środkowo — wschodniej — przewidywanej jako strefa wpływów sowiecka — jest uosobieniem moralnych celów wojny i posiada z tego tytułu wybitny autorytet w świecie. Polska jest głównym szermierzem tej Karty Atlantyckiej, która stoi na drodze imperializmu sowieckiego. Dla tego wszystkiego opłaciło się Moskwie robić pewne wysiłki, by ściągnąć rząd polski pod opiekuńcze skrzydła swojej władzy wojskowej i politycznej.

W rozumowaniach obrońców, szczęśliwie pogrzebanych, koncepcji p. Mikołajczyka spotkać się było można również z jedną nutą. Mówiono, że jeśli okażemy zaufanie i dobrą wolę w stosunku do rządu sowieckiego, podpisując układ w tym nastroju, to w zamian możemy się przecież spodziewać jakiejś wielkoduszności i nagrody. Że przecież tym samym duchem bolszewicy odwzajemnią się nam równie przyjaźnią i dzięki temu będą postępowali z ludnością polską bardziej po ludzku i z większymi względami. W szczególności, że dzięki takiemu aktowi dobrej woli będziemy mogli odsunąć nieco i opóźnić, a może nawet uratować ludność przed wywożeniem na Syberię i aresztowaniami. W ten sposób układ miał stać się czynnikiem obronnym siły biologicznej narodu. Taki sposób rozumowania, w którym władca Kremla występuje jako dobrotliwy wujaszek obdarzający łakociami dzieci, gdy są grzeczne a system bolszewicki, jak chrześcijańskie stowarzyszenie humanitarne, jest w polityce niedopuszczalny.

W polityce nic nie można wyprosić, ani wyżebrać. Dobrej woli okazaliśmy aż nadto w dotychczasowych układach z Moskwą, z których żadnego nie dotrzymała. Mamy do czynienia z systemem najbezwzględniejszym w historii, z rządami, których 25-letnia praktyka dostarczyła na to dowodów, powszechnie znanych i dostatecznie wymownych. Mamy do czynienia z systemem, który jeszcze ostatnio i na terenie Polski wyniszczył oddziały Armii Krajowej, walczącej poprzednio z okupantem niemieckim, gdy oddawały się dobrowolnie w ręce bolszewickie. Mamy do czynienia z ludźmi, którzy patrzyli z prawego brzegu Wisły spokojnie na konanie walczącej Warszawy, zachęciwszy ją poprzednio do powstania, a następnie miotawszy obelgi na jej żołnierzy i dowódców. Liczyć na dobrą wolę rządu sowieckiego i zawierać układ czyniący go gwarantem polskim w nadziei, że się w ten sposób broni siły biologicznej narodu polskiego, byłoby nie aktem polityki realnej, ale całkowitej zatraty zmysłu rzeczywistości i poczucia interesu narodowego.

Jedyne czynniki realne obrony siły biologicznej narodu polskiego pod okupacją sowiecką są to: 1) nieustępliwa i bezwzględna akcja rządu polskiego na terenie międzynarodowym w obronie praw i interesów polskich, w imię Karty Atlantyckiej i cywilizacji chrześcijańskiej, oraz 2) siła samodzielnej, dobrze uzbrojonej i zwycięskiej armii polskiej. Są to jedyne czynniki, które mogą krępować okupanta sowieckiego ziem polskich w gospodarce na nich i w realizowaniu swoich celów w stosunku do narodu polskiego. Są to jedyne czynniki realne, z którymi może się liczyć nawskroś realistyczna i oparta na zimnym wyrachowaniu, polityka sowiecka.

Gotowa do bezwzględnej akcji politycznej i propagandowej, nie ulegająca żadnym naciskom obcych agentur, polityka rządu, coraz silniejsza, zwycięska armia polska — oto najlepsze i jedyne rękojmie obrony nie tylko naszych ogólnych interesów państwowych, ale i siły biologicznej narodu, naszych rodaków pozostałych w kraju i rodzin każdego z nas z osobna.

Andrzej Rusiłło

*) P. Mikołajczyk ogłosił ostatnio w tygodniku londyńskim „Jutro Polski" artykuł, w którym stwierdziwszy, że „pomimo rozwiązania Kominternu idea światowej rewolucji komunistycznej żyje w dalszym ciągu", powołał się jednak na słowa Stalina, do niego wypowiedziane, że rząd sowiecki Polski nie zamierza komunizować bynajmniej. Uprzejme słowa dyktatora Związku Sowieckiego widać uspokoiły p. Mikołajczyka, ale trzeba to zawdzięczać chyba jego zupełnie wyjątkowym kwalifikacjom i wyjątkowej postawie. Sytuacja dzisiejsza jest taka, że „rozwiązany" Komintern pracuje m.in. nad wywołaniem rewolucji w Grecji, we Włoszech, we Francji, w Belgii i w Hiszpanii, czyli nawet w krajach anglosaskiej sfery wpływów. Trzeba naprawdę szczególnej dobroduszności, aby przyjąć za dobrą monetę oświadczenie Stalina, że Polska, włączona do strefy wpływów sowieckich, będzie z tych planów wyłączona.

Gen. Eisenhower w czasie odwiedzin gen. Meczka w polskiej Dywizji Pancernej

JAN OLECHOWSKI

POECI

Snują czerwoną zachód uchyla skraj nieba
I ucisza wzburzone, gwarne życia prądy...
Tej jednej tylko chwili nam dzisiaj potrzeba.
By zawsze już wzywały mgliste horyzonty.

Z czołem schylonym, wolno, wrócimy do miasta.
Kryjąc w szepcie tłumionym modlitwą natchnienia.
A tęsknota uparcie będzie w duszy wzrastać
I ślady nasze znaczyć ścieżkami cierpienia.

Tylko czasem, wtuleni w bezsenne posłanie,
Gdy za taflami okien świat Boży ściemnieje —
Będziemy wróżyć, patrzeć, jak pająk na ścianie
Nieustępliwie snuje nić srebrną — nadzieję.

BOLESŁAW KOBRZYŃSKI

MARCHE

Chwila temu — o kłomby
Tłukły krople, pęknięty szrapnel.
A teraz pogoda wybuchła jak bomba
W ziemi wysoki zapach.

Świeży chrzęst gąsienicy pryska jak woda na szosę
I rozpyla w powietrzu łagodny szum silników
Muszle łowią te echa, potem fale je zniosą
Na dno Adriatyku.

Kolorowe pejzaże wybiegły na góry
W słońcu się wdzięczyć...

— Tęcza!

— Tędy szły pawie i roniły pióra...

BULDOZER

Superom, skromnym a niezmordowanym, poświęcam

Zgryzła i zgryzła stalowe zwierzę,
Kłami gąsienic wżera się w grunt,
W ziemię — skurczone, prężne — uderza,
Lemiesz jak taran kruszy jej bunt.

I kraje w plastry, a potem targa
Piasek i glinę, i darń, i żwir
I wznosi w niebo i składa naręcz
Kwiatów mozołu na blizny wyrw.

Zawraca wyjąc, sprężą się skurcza —
Drży zamulony nurt włoskich wód —
I wraz wysławia buldozer twórczy
Koryto rzece a czołgom bród.

Sapie, rży, stęka stary buldozer,
Dźwiga na barach groblę pod most,
Aż w barwach tęczy nad jarem grozy
Uściska Bayley brzegi dwuch szos.

Ropa natchnieniem szumi w motorze.
Rosną mu skrzydła, choć sam parł wgłąb...
— To nie syrena jęczy i trwoży,
To dmie bóg siły ze wszystkich trąb!

. . . . . .

Kiedyś pojadę szosą wśród winnic,
Nagle... stop! Spojrzę — i w oku łza...
— Biedny buldozer! Jest w „trzeciej linii"
I jak czerw zwłoki, toczy go rdza...

W grudniu, 1941.

D. I.

ORĘDZIE PREZYDENTA ROOSEVELTA

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Być może historyk wojny postawi orędzie prez. Roosevelta z dn. 6 stycznia do członków Kongresu obok wigilijnych przemówień Papieża Piusa XII, jak i te bowiem, choć w formie mniej podniosłej i mniej śmiałej, zwracało się do moralnych zasad w polityce, wskrzeszało ponieważ Kartę Atlantycką, mówiło o nienaruszalnych prawach narodów, stanowiło pewną reakcję przeciw obnażonemu cynizmowi czasów obecnych.

By jednak zrozumieć sens tego wystąpienia, należy rozpatrywać je, jak każde wydarzenie polityczne, na tle rozgrywających się wypadków.

Niepowodzenia

Rok 1944 zakończył się niepowodzeniami dla obozu aliantów. Niepowodzeniami wojskowymi i politycznymi. Do dnia dzisiejszego klin niemiecki w Belgii nie został usunięty, choć marsz Niemców ku Mozie został powstrzymany, a wojska von Rundstedta znalazły się w defensywie. Zachowują one jednak mimo to znaczną siłę zaczepną i dywersyjną, o czym świadczyły ich wypady za Mozę na odcinku holenderskim, a zwłaszcza jednak ofensywa na granicy Zagłębia Saary i niemieckiego Palatynatu, sforsowanie Renu i zagrożenie Strasburgowi.

Podobną zaczepność zachowują Niemcy na Węgrzech, gdzie szaleje już trzeci tydzień bitwa o Budapeszt. Garnizon niemiecko-węgierski w Budapeszcie, obliczany na 100.000 ludzi, broni się tym zaciekle, że wie już o zbliżającej się ku niemu odsieczy. W łuku, jaki na północ od Budapesztu tworzy Dunaj, powstała paradoksalna sytuacja. Na północ od Dunaju w kierunku zachodnim prą wojska sowieckie zdążając na Komarno, po drugiej zaś, południowej stronie rzeki wojska niemieckie naciskają w kierunku przeciwnym, wschodnim, zbliżając się do stolicy Węgier. Agencja Associated Press donosi z Londynu, że o ile Niemcy osiągną swój cel i przetamią oblężenie Budapesztu „w kampanii węgierskiej wytworzy się nowa sytuacja i najazd armii czerwonej na Austrię będzie musiał być odroczony na tygodnie". Ale dlatego wojska sowieckie robią wszystko, by jak najszybciej złamać obronę garnizonu Budapesztu.

Zarówno jednak ofensywy niemieckie na zachodzie, jak i przebieg kampanii węgierskiej, a także bomby V 1 i V 2, skierowane ostatnio głównie na Antwerpię i Liege uświadomiły sprzymierzonych, że nie kończą się ich wysiłki w wojnie z Niemcami, że wojna ta wymaga opracowania dalszych planów.

Belgia i Grecja

Do niepowodzeń militarnych dołączyły się bowiem ściśle z tamtymi związane kłopoty polityczne. Sprzymierzeni anglo-amerykańscy, zwłaszcza jednak Anglicy, spotkali się w tym czasie z charakterystycznymi uderzeniami w plecy, wykorzystywanymi oczywiście znakomicie przez propagandę niemiecką.

Nie zwrócono dotychczas dostatecznej uwagi na fakt, że w przededniu ofensywy Rundstedta na Belgię w samej Belgii omal nie doszło do rewolucji, skierowanej przeciwko prawowitemu rządowi, cieszącemu się zaufaniem gabinetu brytyjskiego. Zamieszkami, stłumionymi dzięki energii rządu i gen. Erskine'a, dowódcy wojsk brytyjskich, kierowali komuniści. Czyżby ofensywa niemiecka i organizowany przez komunistów bunt w Belgii zbiegły się w czasie tylko przypadkowo?

Drugim terenem rewolty była Grecja. Sytuacja została tam wreszcie opanowaną przynajmniej w Attyce. Walki ustały w Atenach i w Pireusie. Ale czy siły Elasu zostały złamane? Mniemanie takie byłoby zbyt optymistyczne. Partyzanci greccy po prostu zapadli się w ziemię, ukryli się w górach, przedzierżgnęli się w cywilów, chowając broń. Słusznie zauważa korespondent Associated Press, że potrafili oni przetrwać w ten sposób trzy lata okupacji niemieckiej, potrafią również „dostosować się" do obecności wojsk brytyjskich w Grecji. Premier grecki gen. Plastiras zapowiada, że o ile oddziały Elasu nie poddadzą się całkowicie, wyruszy osobiście, by zgnieść je do końca. Ale jak walczyć z armią cieniów wspomaganą w dodatku w sposób „cudowny" przez siły, których dyskretnie nie wymienia się?

W Grecji istnieje świadomość, że walki z Elasem nie ustały i że trzeba się mieć na baczności. Nie została również rozwiązana sytuacja polityczna tak, jak życzyłyby sobie niektóre koła londyńskie. Regent arcybiskup Damaskinos powołał rząd gen. Plastirasa, ale prasa angielska nie jest na ogół z tego rządu zadowolona, bo rzekomo jest zbyt prawicowy i nie zasiadają w nim delegaci Elasu, co świadczy, że nie ma wciąż upragnionego kompromisu z komunistami, a raczej z tymi, którzy ich popierają. Co więcej, prasa ta wyraża niezadowolenie z powodu faktycznych czy rzekomych aresztowań dokonanych przed rząd grecki wśród działaczy EAM'u, choć wiadomo, że oddziały Elasu uprowadziły w góry nie tylko zakładników greckich, ale i brytyjskich.

Angielskie koła polityczne z melancholią stwierdzają, że „kryzys grecki nie znajduje się dziś bliżej rozwiązania niż wtedy, gdy nie było regenta, a Papandreu był ciągle premierem greckim". „Times" zaś stwierdzał, że „głęboki niepokój" panuje z tego powodu w Anglii? Niepokój? Dlaczego? Czy z powodu ucieczki band Elasu w góry? Czy też z powodu stwierdzenia, że siły popierające Elas chcą zachować na Bałkanach i w Grecji zupełnie wolną rękę i nie pragną wiązać się żadnymi umowami i kombinacjami politycznymi, nawet w zakresie utworzenia „wspólnego" rządu greckiego. Brak takiego rządu świadczy bowiem, że nie tylko z Elasem nie ma dziś zgody.

Macedonia

Wolna ręka na Bałkanach może wyrazić się w proklamowaniu „wolnej Macedonii" ze stolicą w Salonikach. Ruch w tym kierunku prowadzony jest bardzo wyraźnie w Sofii, w Salonikach, w Jugosławii i, ... pożal się Boże, również w Lublinie. Wszystkie zależne od Moskwy agentury zainteresowały się nagle losem Macedończyków. Oczywiście powstanie „wolnej" Macedonii oznaczałoby rozbiór i osłabienie Grecji, odcięcie jej od Turcji oraz oddanie jednego z największych portów na Morzu Śródziemnym oraz wylotu na to morze w ręce tych, na których „patrioci" macedońscy oprą się niewątpliwie. Wolna sowiecka Macedonia to po prostu wylot Rosji na Morze Śródziemne.

Komitet lubelski zabrał również w tej sprawie głos nadając w audycji radiowej następujące doniesienie: „Grecka Macedonia i Bułgaria utworzą potężne proletariackie skrzydło południowe na Bałkanach i w federacji bałkańskiej". Wynika z tego, że gdybyśmy, jak to nam radzono nieraz w Londynie, połączyli się z „Komitetem" lubelskim musielibyśmy już dziś wyrażać zgodę na rozbiór Grecji i już dziś przeciwstawiać się polityce angielskiej i wchodzić z nią stopniowo w zatarg.

Co prawda, polityka ta nadal próbuje stosować metodę „dobrej woli" w stosunku do Rosji w nadziei, że przecież wszystko w końcu ułoży się. Tym razem „dobrą wolę" ma wykazać król Jugosławii Piotr II, na którego wywierane są naciski, by podobnie, jak król grecki, zgodził się na ustanowienie w Jugosławii regencji, której przekazałby swe prawa zwierzchnicze nad tym krajem. Oczywiście w praktyce oznaczałoby to zalegalizowanie władzy marsz. Tito i odcięcie królowi powrotu do kraju. Otóż młodociany monarcha nie chce zgodzić się na tę zamaskowaną abdykację, nie chce sankcjonować układu zawartego przez premiera Subasicza z marsz. Tito. Źródła angielskie podają, że na jego zachowanie się ma pewien wpływ w tej chwili postawa Polaków.

Polska

Postawa rządu polskiego przyczyniła się w każdym razie do znacznego wyjaśnienia sytuacji. A to już jest wiele. Ponadto jednostronne uznanie Komitetu lubelskiego za „rząd" przez Moskwę spotkało się z krytyczną oceną prasy brytyjskiej i amerykańskiej jako nowy dowód dążenia Rosji do prowadzenia w Europie polityki na własną rękę. Nawet „Stars and Stripes" musiały stwierdzić, że w Londynie panuje „duże niezadowolenie" z tego, że Rosja „przyspieszyła kryzys w sprawie polskiej nie czekając na zebranie wielkiej trójki".

Okazuje się, że rząd brytyjski zwracał się do Moskwy z propozycją odłożenia uznania Komitetu do czasu konferencji Churchill-Stalin-Roosevelt, ale rząd sowiecki odpowiedział odmownie na tę propozycję. Uznanie przez Moskwę nastąpiło mimo, iż rząd brytyjski zawiadomił rząd sowiecki, że „odmawia porzucenia rządu polskiego w Londynie". Podobne stanowisko zajął rząd Stanów Zjednoczonych, a także rząd francuski, który oświadczył, że w sprawie polskiej będzie szedł „obok" Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. W ten sposób, jak zauważają „Stars and Stripes", jednostronne decyzje sowieckie w sprawie Lublina raczej wzmocniły, niż osłabiły pozycję rządu polskiego.

Stosunki anglo-amerykańskie

Trudności, które powstały na odcinku anglo-sowieckim, nie mogły jednak być dłużej ukrywane, a wzrastające komplikacje na Bałkanach nie wróżą, byśmy znajdowali się w końcowej fazie tych kłopotów. Co jednak opinię angielską najbardziej zaniepokoiło, a może i rozdrażniło w tej sytuacji, było zagadkowe zachowanie się polityki amerykańskiej.

W prasie angielskiej, w „Yorkshire Post", „Times", „Manchester Guardian", ukazały się artykuły domagające się wyświetlenia stanowiska Stanów Zjednoczonych wobec polityki światowej. „Nobody knows American policy" (Nikt nie zna amerykańskiej polityki) głosiły dzienniki londyńskie trawestując powiedzenie, które swego czasu, nie wiadomo dlaczego, powiedział o polityce polskiej Lloyd George. „Times" stwierdził, że obracamy się dziś w „błędnym kole" międzynarodowych nieporozumień głównie wskutek niejasnego stanowiska Ameryki i uchylania się przez nią od „przyjęcia politycznej odpowiedzialności w Europie".

Przyczyną rozdrażnienia był fakt, że Amerykanie w szeregu wypadków — również w sprawie polskiej — zajęli stanowisko nieco odmienne niż Anglicy, co zostało dość demonstracyjnie podkreślone. W Grecji zachowali neutralność wobec toczących się walk, wystąpili przeciw narzucaniu Grekom jakiegokolwiek rządu i podkreślali prawa Greków do wybrania sobie takiej władzy, jaka im będzie dogodna. We Włoszech nie poparli veto brytyjskiego w sprawie Sforzy. Ostatnio ni stąd ni zowąd jeden z dziennikarzy amerykańskich, goniących za sensacją, Pearson, dopuścił się niedyskrecji pachnącej skandalem ogłaszając urzędowe pismo z sierpnia ub. r. brytyjskiego ambasadora w Waszyngtonie lorda Halifaxa do amerykańskiego Departamentu Stanu w sprawach włoskich. Lord Halifax sprzeciwił się wówczas wzmacnianiu pomocy dla Włoch, tłumacząc, że kraj ten nie może być uprzywilejowany w stosunku do aliantów europejskich W. Brytanii. Pismo lorda Halifaxa stwierdzało, że pomoc dla Włochów należy ograniczyć „do takiej ilości, by nie marli z głodu i siedzieli cicho". Od sierpnia wiele się zmieniło. Była wizyta Churchilla w Rzymie, nastąpiła wymiana ambasadorów między Londynem a Rzymem i t. d. Niemniej ogłaszanie dziś właśnie pisma lorda Halifaxa mogło sprawić Anglii tylko kłopoty na gruncie włoskim.

Nic dziwnego, że opinia angielska zaczęła zastanawiać się, czy w obliczu kryzysu europejskiego może w pełni liczyć na poparcie amerykańskie.

Ameryka nie ustanie w walce

Czy orędzie prez. Roosevelta uspokoiło obawy angielskie? Pod wielu względami tak. Przede wszystkim nie ulega wątpliwości, że wola pokonania Niemiec. Prezydent zapowiedział, że walka z nimi prowadzona będzie aż do zwycięstwa, że nadal wojna z Rzeszą mieć będzie pierwszeństwo nad wojną z Japonią, aczkolwiek wylądowanie wojsk amerykańskich na głównej wyspie Archipelagu Filipińskiego Luzon świadczy, że Stany Zjedn. stać na prowadzenie wojny na wielką skalę na dwóch teatrach jednocześnie. „W Europie — mówił prezydent — wznowimy ofensywę".

Amerykanie wzięli sobie bardzo do serca — co im się chwali — niepowodzenia, jakie spotkały ich w Belgii i we Francji. Przyznali się odważnie do błędów i chcą je naprawiać. Zgodzili się też na zmiany w dowództwie. Marsz. Montgomery — po wizycie premiera Churchilla na froncie — mianowany został dowódcą frontu na północ od klina niemieckiego w Belgii, amerykański gen. Bradley — dowódcą odcinka południowego. Jednocześnie podporządkowano marsz. Montgomery dwie armie amerykańskie — I i IX. Prezydent Roosevelt oświadczył jednak, że zachowuje pełne zaufanie do gen. Einsenhowera i że wszelkie pogłoski — przed którymi przestrzega — o nieporozumieniach wśród dowódców alianckich posiadają stempel „made in Germany".

Dowodem niezachwianej woli zwycięstwa w Ameryce, gdy „wszystko jest w grze", są również: zapowiedź prezydenta wzmożenia produkcji wojennej, projekt ustanowienia „narodowej służby pracy", która powoła całą ludność Ameryki Północnej do wysiłku wojennego oraz plan wprowadzenia powszechnej służby wojskowej na okres powojenny, gdyż „trwały pokój nie będzie osiągnięty bez silnej Ameryki: silnej społecznie i ekonomicznie, a również militarnie".

Rewolucyjna decyzja o powszechnej służbie wojskowej jest wszakże nieuniknionym następstwem brania przez Stany Zjedn. politycznej odpowiedzialności za utrzymanie pokoju po wojnie. Prezydent wspominał o tym kilkakrotnie, gdy mówił, że sprzymierzonych łączy nie tylko wspólne niebezpieczeństwo, ale i „wspólna nadzieja" narodów, które chcą pokoju, gdy zaznaczał, że „powinniśmy mieć przyjaciół, którzy współpracować będą z nami w pokoju tak, jak walczyli przy naszym boku w wojnie" i gdy stawiając kropki nad i stwierdzał, że wojna obecna wykazała „zdolność dwóch narodów, Wielkiej Brytanii i Ameryki, do wspólnego planowania, wspólnego czynu i wspólnej walki w całkowitej współpracy i harmonii".

A więc opinia angielska powinna być zadowolona. O żadnym kraju prezydent Roosevelt nie wyraził się tak, jak o Wielkiej Brytanii, której proponuje trwałą i ścisłą współpracę po wojnie.

„Ale" Ameryki

Ale w tym wszystkim jest pewne „ale" dość zasadnicze. Prezydent nie ukrywał, że między sprzymierzonymi są nieporozumienia. „Im bardziej zbliżamy się do zwycięstwa nad naszymi wrogami, stajemy się oczywiście świadomi różnic między zwycięzcami". Przestrzegając zaś przed „przesadzaniem nieporozumień między Stanami Zjedn. a naszymi sprzymierzeńcami" wyznawał, że specjalną „troską" napełniają go sprawy grecka i polska.

(Dokończenie na str. 6)

POLSKI BISKUP POLOWY POTĘPIA UZURPATORÓW LUBELSKICH

Przemawiając do żołnierzy, uczniów jednej z wojskowych szkół radiomechaników w dniu 6 stycznia ks. biskup J. Gawlina powiedział m. in. co następuje:

„W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się, że tak zwany Komitet Wyzwolenia, składający się z agentów bolszewickich, nadał sobie tytuł rządu polskiego. Chociaż wiem, że wszyscy Polacy, którzy nie są zmuszeni do innego stanowiska groźbą bagnetów, głośno sprzeciwiają się temu, uważam za mój obowiązek, jako biskup polski i Ordynariusz Polskich Sił Zbrojnych oraz uchodźców polskich z Rosji, oświadczyć z całą świadomością i powagą, że jedna jest tylko Konstytucja Polska, na którą wszyscy żołnierze składaliśmy przysięgę, jeden Prezydent Rzeczypospolitej, legalnie na tej podstawie wyznaczony — Władysław Raczkiewicz, któremu winni jesteśmy w sumieniu posłuszeństwo i jeden prawowity Rząd Polski, przez niego mianowany.

„Wiem, że nie potrzebuję wzywać Was do wierności Polsce i jej Prezydentowi, ale chcę wezwać wszystkich Polaków do gorącej modlitwy za niego i tych, którzy pełnią w tych trudnych czasach prawowitą władzę. Pod ich kierownictwem walczymy o słuszną sprawę z Niemcami i walczyć będziemy z każdym, kto chce nam odebrać nasze najświętsze prawa. Prośmy Boga, aby dał im światło, siłę i pozwolił nas doprowadzić do naprawdę wolnej Ojczyzny".

DOKUMENTY

Oświadczenie rządu polskiego

Agencja PAT została upoważniona przez rząd polski do złożenia następującego oświadczenia:

„Uznanie przez rząd Z.S.R.R. utworzonego przez Rosję Komitetu Lubelskiego jako rządu tymczasowego stanowi bezpośrednie pogwałcenie fundamentalnego prawa narodu polskiego do posiadaania rzeczywiście niepodległego państwa, wolnego od obcej interwencji i stanowi naruszenie niezaprzeczalnego prawa narodu polskiego urządzania swego wewnętrznego życia w taki sposób, który sam naród uzna za odpowiedni.

„Rząd polski, który szczerze pragnie trwałego porozumienia pomiędzy Polską i Związkiem Sowieckim, wyraża głęboki żal z powodu tego kroku rządu sowieckiego, który czyni porozumienie jeszcze bardziej trudne i nie przyczynia się do wzmocnienia jedności w obozie narodów zjednoczonych, jedności tak koniecznej w ich walce przeciwko wspólnemu wrogowi".

„Komuniści zmieniając swą skórę jak kameleon zaczęli występować i przemawiać w imieniu wszystkich polskich partyj politycznych. Jest to sprytnie przygotowana maskarada, która jednak nie zwiedzie nikogo. Podobnie jak nikt nie da się zwieść przez obecne uchwały „Krajowej Rady Narodowej" uzurpującej sobie prawa Sejmu i ogłaszające Komitet Lubelski jako rząd polski. Podobne akty nie zmienią rzeczywistego stanu rzeczy, nawet gdyby Komitet Lubelski uzurpował sobie prawa rządu polskiego. Rozpoczął on już zresztą pobór do wojska, emisję banknotów, nakłada podatki, ustanawia sądy i przesiedla polskich obywateli narodowości ukraińskiej; w ten sposób wykonywuje czynności należące normalnie do uprawnień władz państwowych.

„Nie uważamy, by uznanie przez Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone i Francję było możliwe. Oznaczałoby to, że państwa te zgadzają się na powstanie Polski komunistycznej, przygotowanej do inkorporacji do Związku Sowieckiego, Polski, której tak uroczyście obiecywane „niepodległość, wolność i siłę" zostałyby wymazane za zgodą tych mocarstw."

Zniknęli?

Londyński „Dziennik Polski" komentując personalny skład „rządu lubelskiego" zwraca uwagę na fakt, że z komitetu zniknęli: Drobner, Sommerstein, Wasilewska, Berling, Hanneman, Kotek, Agruszewski.

Znamienne jest zniknięcie Berlinga, który w komitecie był zastępcą kierownika resortu obrony narodowej. Miejsce jego zajął Aleksander Zawadzki, Polak z pochodzenia, lecz oficer armii czerwonej od 1920 roku, a następnie pułkownik N.K.W.D. na granicy Mandżurii, gdzie przebywał przez wiele lat. Drugim zastępcą Żymierskiego został gen. Kunczys, również oficer sowiecki.

Wszystkie ważniejsze teki objęli członkowie P.P.R. (Polska Partia Robotnicza — stworzona przez Moskwę na terenie Polski w czasach okupacji niemiecko-sowieckiej— przyp. red.) — otwarci komuniści. Pierwszym „wicepremierem" jest Gomułka, „ministrem" bezpieczeństwa publicznego Radkiewicz, „ministrem" oświaty Skrzyszewski, „ministrem" przemysłu i finansów Dąbrowski — wszyscy członkowie P.P.R.

Odnośnie Bieruta „Dziennik" podaje szczegóły tyczące jego osoby. Używał on trzech nazwisk: Krasnodębski, Bieńkowski i Rutkowski. Nazwisko Bierut składa się z dwu pierwszych zgłosek dwu ostatnich nazwisk.

Głos „Jutra Polski"

W poprzednim numerze naszego pisma wskazaliśmy na fakt powołania się w dniu 3 stycznia przez pismo amerykańskie „The Stars and Stripes" na jakieś napastliwe pod adresem rządu polskiego wystąpienie londyńskiego „Jutra Polski." Tymczasem w numerze z dnia 7 lutego, a więc po uzurpatorskim przemianowaniu się Komitetu Lubelskiego, ukazało się w tym piśmie oświadczenie zatytułowane „Nic nowego, rząd komunistyczny, a niepodległość, wolność i suwerenność państwa polskiego", którego treść nie potwierdza nadziei wysuwanych przez „Stars and Stripes."

„Tak zwana Krajowa Rada Narodowa uznała siebie za Sejm polski przez oświadczenie z 31 grudnia ogłaszające równocześnie uznanie tzw. Komitetu Lubelskiego za rząd polski. Decyzji tego rodzaju nie zmieniają w niczym rzeczywistego stanu faktycznego. Wyżej wymieniona „Krajowa Rada Narodowa" powstała 1 stycznia 1944 r. z kilku komunistów, wśród których wielu całe swe życie spędziło poza Polską. Nie są oni nawet polskimi obywatelami. Uznała się ona za reprezentację Polski, chociaż było rzeczą ogólnie wiadomą, że polskie państwo podziemne istnieje i istnieją jego legalne władze. Na czele tego podziemnego państwa stanęła ogólnonarodowa reprezentacja politycznych partyj, w skład której weszli delegaci wszystkich ruchów politycznych w Polsce. Reprezentacja ta została ostatnio zreorganizowana w Radę Jedności Narodowej, która to rada jest polskim Sejmem podziemnym. Rząd w kraju składa się z delegata rządu jako wicepremiera, trzech ministrów i głównodowodzącego armii krajowej. Polskie państwo podziemne walczyło bez przerwy i z pełnym poświęceniem przeciwko Niemcom od 1939 roku, kiedy to Rataj w imieniu Stronnictwa Ludowego, Niedziałkowski w imieniu P.P.S., Kwiecińskі w imieniu Chrześcijańskiego Stronnictwa Pracy i Dębski w imieniu Stronnictwa Narodowego, założyli podstawy pod jego organizację.

„Ponadto wielu wybitnych przewódców i setki tysięcy działaczy politycznych jak również oficerów i żołnierzy armii krajowej (dwu delegatów rządu i dwu głównodowodzących armij krajowej) przypłaciło tę walkę przeciwko Niemcom więzieniem, torturami i ofiarą swego życia.

„Ignorując zupełnie wszystkie te fakty kilku ludzi stworzyło 1. stycznia 1944 r. t. zw. „Krajową Radę Narodową". Rada ta następnie powołała tak zwany Komitet Lubelski. Początkowo tacy ludzie jak n. p. Andrzej Witos zostali wprowadzeni jako członkowie Komitetu, nie wiadomo wśród jakich okoliczności. Ludzie tego rodzaju nie zagrzali długo miejsca w Komitecie i nie wiadomo, co się z nimi potem stało.

Chociaż Komitet Lubelski działa na poważnym terytorium, żaden z przedstawicieli politycznych partyj nie wszedł w jego skład, nie należy doń.

P. Mikołajczyk tłumaczy

„Jutro Polski" w numerze z 7. stycznia 1945 r. ogłosił długi artykuł p. Mikołajczyka zatytułowany: „Przed spotkaniem wielkiej trójki".

B. premier pisze m. in., że wszystkie narody wyciągną wnioski z trzech faktów:

„1) Niemcy muszą przegrać wojnę.

„2) Umiłowanie wolności i walka o sprawiedliwość staną się jeszcze bardziej drogie dla ludzkości.

„3) Rozwój techniki przekonuje nas, że nie ma bezpiecznego miejsca na świecie i nie ma żadnych bezpiecznych granic strategicznych.

„Co się tyczy Polski, my Polacy, pomimo uczucia krzywd doznanych w przeszłości i doznawanych obecnie, musimy uczynić wszystko, by żyć w jak najlepszej sąsiedzkiej harmonii z Rosją sowiecką, naszą potężną sąsiadką uznając, że nic tylko nasze bezpieczeństwo zależy od tej współpracy.

„Głównym elementem bezpieczeństwa i odpowiedzialności za przyszłość są trzy potęgi: U.S.A., Brytyjska Wspólnota Narodów i Rosja Sowiecka. Wiemy, że dwie pierwsze nie zagrażają światu dążeniami przeciwko suwerenności i wolności innych narodów.

P. Mikołajczyk w dalszym ciągu pisze, że chociaż Komitern został rozwiązany, idea światowego komunizmu ciągle jeszcze żyje.

Pomimo że komunizm pozostaje aktywnym czynnikiem, kierowanym dyrektywami z Rosji sowieckiej, Związek Sowiecki musi wziąć pod uwagę dwa fakty: pragnienie utrzymania przyjaznych stosunków sowiecko-brytyjsko-amerykańskich, a to w celu uzyskania pomocy dla odbudowy kraju i by nie zostać w izolacji. Po drugie — życzenie utrzymania systemu bezpieczeństwa, który uczyniłby niemożliwą nową niemiecką agresję. Autor zapowiada próby komunistów uchwycenia władzy na zachodzie przez zamachy stanu, lecz przewiduje niepowodzenie tego rodzaju akcji.

W dalszym ciągu b. premier pisze:... „Rosja sowiecka musi zdać sobie sprawę, że skomunizowanie narodu polskiego może być przeprowadzone jedynie terrorem, lecz w tym wypadku Polska sąsiadująca z Niemcami nie będzie mogła odegrać roli jednego z elementów bezpieczeństwa przeciwko potencjalnej niemieckiej agresji. Stalin sam to uznaje, gdyż powiedział mi, że Polska nie powinna być komunistyczną.

Autor oświadcza, że Stronnictwo Ludowe, będąc zwolennikiem szczerego i szybkiego porozumienia z Rosją, jest przeciwnikiem reżymu komunistycznego w Polsce i jest przeciwnikiem dyktatury wszelkiego rodzaju. Stronnictwo Ludowe chętnie widziałoby komunistów w przyszłej Polsce jako partię legalną i działającą otwarcie, walczącą o wpływy w swobodnych i demokratycznych wyborach.

Obecnie zaś Stronnictwo Ludowe nie bierze udziału w rządzie i nie ma zamiaru wchodzić w skład obecnego rządu".

W dalszym ciągu pisze p. Mikołajczyk: „Jestem przekonany, że kwestia niepodległości i suwerenności państwa polskiego zależy(?) od wyników najbliższej konferencji wielkiej trójki. Ufając, że kraj narzuci(?) swoją incjatywę rządowi przez wysunięcie nowego programu, pragnę ograniczyć się do naszkicowania warunków, które powinny być wzięte pod uwagę przez trzy wielkie mocarstwa, jeżeliby nowa polska incjatywa miała pewne szanse realicji. Naród polski w obliczu groźnej rzeczywistości musi być przygotowany na pewne ofiary (?) lecz nie powinne one być jednostronne i nie mogą mieć cech bezwarunkowej kapitulacji (?)

„Trzy mocarstwa nie tylko muszą powziąć decyzję, ale również przyjąć na siebie odpowiedzialność.

Jeżeli by nie było zgody w tej sprawie pomiędzy trzema mocarstwami, to żaden Polak podpisując zmiany graniczne nie mógłby stanąć przed swoim narodem bez tego, by nie nazwano go zdrajcą, ponieważ jego podpisybyłby jedynie zainicjowaniem jednostronnego rozbioru Polski i czasową kapitulacją.

„Po drugie ustalenie przyszłych granic Polski musi być równocześnie połączone z ustanowieniem wszystkich granic państwa polskiego na wschodzie, jak również na północy i zachodzie.

„Po trzecie w okresie, gdy trzy wielkie potęgi będą decydowały, a małe państwa nie będą uczestniczyły w organizacji bezpieczeństwa powojennego, musi nastąpić nie tylko słowna gwarancja, że Polska będzie państwem silnym i niepodległym, a naród polski musi być rzeczywiście przekonany o realnej pomocy przy gwarantowaniu jego wolności i niepodległości. W wypadku przeciwnym Polacy mogą zapytać, po co jest potrzebny ich podpis na akcie, który unieważnia poprzednie granice, lecz nie daje rzeczywistego bezpieczeństwa i niepodległości państwa?"

P. Mikołajczyk dodaje, że jeżeli by dokładnią wypracowano geograficzne przesunięcie państwa polskiego, dla nowego państwa powinna być zapewniona dostateczna ekonomiczna pomoc. Sowiecka Rosja musi zrozumieć, że układ z Polską musi być przeprowadzony w taki sposób, by ze strony polskiej nie było uczucia niesprawiedliwości. Problemat ten nie może być rozwiązany przez narzucenie Polsce rządu komunistycznego.

„Osobiście należę do tych ludzi, którzy są zwolennikami ułożenia stosunków polsko-sowieckich obecnie, a nie po wojnie."

■

Przytoczyliśmy nadesłane przez Polską Agencję Telegraficzną wywody p. Mikołajczyka na dowód, że i b. premier uważa Komitet Lubelski za instytucję czysto komunistyczną, oraz stwierdza, że system komunistyczny mógłby być w Polsce wprowadzony tylko terrorem. Niestety z tego twierdzenia nie wypływają logiczne wnioski.

P. Mikołajczyk wierzy, albo udaje że wierzy zapewnieniom Stalina, że Rosja nie zamierza komunizować Polski. Dlaczego jednak w takim razie Moskwa narzuca Polsce komunistyczny komitet? B. premier daje co prawda do zrozumienia, że uregulowanie spraw polskich wymaga współudziału i zgody Polski, ale z drugiej strony decyzję w tej sprawie oddaje rezygnacyjnie w ręce konferencji trzech. Wreszcie, w czym różnica z poglądami p. Mikołajczyka będzie najbardziej zasadnicza, obstaje on przy konieczności rostrzygnięcia polskich zagadnień, również granicznych, jeszcze w czasie trwania wojny przed ogólną konferencją pokojową. Stanowisko to uważa opinia polska za błędne, szkodliwe i niczym nie uzasadnione. Na tym tle właśnie powstał między nią a p. Mikołajczykiem konflikt, którego przyczyny, jak widzimy, trwają nadal.

D. I.

ORĘDZIE PREZ. ROOSEVELTA

(Dokończenie art. ze str. 5)

Prezydent uważa, że nie należy „różnic" pogłębiać, ale dlatego stwierdza, iż w „przyszłym świecie nadużywanie władzy, określone w pojęciu polityka władcza czy mocarstwowa (power policy) nie może stać się naczelnym czynnikiem w stosunkach międzynarodowych. Prezydent uważa, że przeszkodą do pokoju międzynarodowego może być co prawda również „poszukiwanie absolutnej doskonałości" ale także „izolacjonizm, imperializm i polityka władcza" (power policy). Zarzut uprawiania takiej polityki nie był oczywiście skierowany pod adresem mniejszych i małych narodów...

„Nie zawahamy się zastosować naszego wpływu — i zastosować go natychmiast — mówił dalej prezydent — by zapewnić w miarę ludzkich możliwości realizację zasad Karty Atlantyckiej. Nie staraliśmy się uchylać od odpowiedzialności wojskowej, którą wojna narzucała. Nie możemy i nie zamierzamy uchylać się od odpowiedzialności politycznej, która powstanie po wojnie".

Mimo że realizacja zasad Karty Atlantyckiej uwarunkowana została „ludzkimi możliwościami", przecież nie bez powodu przypomniano ten dokument.

Wreszcie w stosunku do krajów wyzwalanych prezydent wyraźnie stwierdził, że Stany Zjedn. posiadają zobowiązania „nieskończone traktatowe wobec rządów na uchodźstwie". „My i nasi sprzymierzeńcy mamy obowiązek, który nie może być ignorowany, użycia naszego wpływu, by żadna władza tymczasowa w krajach wyzwalanych nie przeszkadzała ewentualnemu wykonywaniu prawa każdego narodu do swobodnego wybrania sobie rządu oraz instytucyj, pod którymi, jako zespół ludzi wolnych, chce żyć".

Sądzimy, że sformułowania są dostatecznie jasne. Agencja Associated Press donosiła z Londynu, że w tamtejszych kołach uznano mowę prezydenta jako powrót do „polityki międzynarodowej opartej na ideałach i zasadach ucieleśnionych w Karcie Atlantyckiej, a w przeciwieństwie do polityki dostosowywania się".

A więc powrót do zasad. Jest to normalna reakcja w chwili kryzysu oraz impasu ogólnego. Jest to po za tym reakcja mądra. Pismo wojsk kanadyjskich we Włoszech „The Maple Leaf" z dnia 10 b.m. podaje obszernie uchwały Kongresu Kanadyjczyków polskiego pochodzenia. Piękne te uchwały stają w obronie Polski, solidaryzują się z jej postawą, zajmują stanowisko krytyczne wobec ostatniej mowy premiera Churchilla, nawołują do nawrotu do zasad Karty Atlantyckiej i stwierdzają, że „uchylając się dziś od stosowania tych zasad wobec Polski możemy doczekać się, że jutro pominięte one będą wobec Kanady".

Czego więc chce Ameryka? By przełożyć na język praktyczny i polityczny wzniosłe zasady, które głosi, należałoby powiedzieć, że jest przeciwna krzywdzeniu słabszych narodów, których niepodległość — jak powiedział Roosevelt — uważa za trwały cel wojny, a dalej narzucania tym narodom obcych rządów i systemów, sprzeciwia się również polityce imperialistycznej, strefom wływów, podziałowi Europy na część angielską i sowiecką, kto wie może nawet zbyt ścisłemu i zbyt wyłącznemu sojuszowi angielsko-sowieckiemu. Poza tym jednak Stany Zjedn. trwają przy zasadach idealnych, które zjednywać im będą sympatię różnych narodów, pragną bowiem zachować dla siebie jak najdłużej wolną rękę, pragną nie wiązać się wyrażeniem zgody na decyzje przedwczesne, niedojrzałe, a w dodatku takie, na które dobrowolnie nie wyrażą zgody wszystkie zainteresowane strony. Może z tego powodu polityka amerykańska wydaje się płynna.

Konferencja „wielkiej trójki", która odbyć się ma po 20 stycznia, zbierze się już zatem w zupełnie innej atmosferze niż zjazd teherański. Prezydent Roosevelt na jednej z konferencji prasowych wyraźnie oświadczył, że „nie ma nadziei rozwiązania na tym spotkaniu wszystkich różnic, dotyczących europejskich politycznych i terytorialnych zagadnień". Różnice te bowiem są jednocześnie wyrazem sprzecznych tendencji, które narosły w łonie samej wielkiej trójki.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Na Głównym Punkcie Opatrunkowym*)

Godzina 7-ma. Odsłonięto wejście do naszego schronu. Płk. O. mówi, że same tylko pułki Kresowej wystrzeliły 25,000 pocisków, nie licząc moździerzy. Zda się, otworzony nasz chron — partaje tymi wystrzelonymi pociskami, napięciem całonocnym. Wychodzę na zewnątrz. Świato sączy się przez mglisty dzień, nad nami ciągnie srebrzysty klucz „Liberatorów", wracających z wyprawy nocnej na głębokie tyły. Bezpośredniego wsparcia, niestety próżno wypatrują walczący żołnierze **). Naliczam 110 maszyn. Wolę patrzyć w niebo i liczyć całe powracające maszyny, niż patrzyć w dół, gdzie z doliny Inferno ciągnie z G.P.O. sznur sanitarek. Nikt jeszcze po tej dolinie nie jechał tak wolno, jak te wozy nabrzmiałe cierpieniem. Wszyscy tu się maskowali i przemykali — sanitarki jadą wolno, rozwiesiwszy wielkie flagi Czerwonego Krzyża, pokrywszy się czerwonymi krzyżami, niemo świadcząc wobec drapieżnego szczytu Cairo, który pochylił się nad drogą — wczoraj szczęśliwą, dziś — Drogą Bolesną i milczy.

G.P.O. — Główny Punkt Opatrunkowy jest pierwszym punktem, na którym dokonywuje się operacyj. Na B.P.O. — batalionowym punkcie opatrunkowym najwyżej nałożą drugą warstwę waty na przesiąkający krwią opatrunek założony przez sanitariusza na miejscu oraz zastrzykną morfinę. Na W.P.O. — wysuniętym punkcie opatrunkowym, który jest więcej stacją załadunkową, niż szpitalem — najwyżej napoją rannego i, jeśli już koniecznie trzeba, „obetną mu kozikiem kończynę, zwisającą na kawałku skóry". Dopiero jeśli dobrnie do G.P.O. — podreperują go zasadniczo.

Dlatego G.P.O. — powinno być już na spokojnych tyłach. Ale naczelny szef służby zdrowia naszego Korpusu — płk. P. D. wie, co znaczy szybka pomoc, wie, że akcja odbywa się w górach, skąd i tak znoszenie rannych jest opóźnione. Wypchnął więc G.P.O. pod obstrzał, kalkulując, że jeśli poległnie nawet kilka osób z personelu, to uratuje się życie dużej ilości wykrwawionych rannych. I dlatego też tu zaraz umieścił czołówkę transfuzyjną.

Nieprzyjaciel niezwłocznie pokwitował decyzję — przed trzema dniami na tym posterunku G.P.O. polegli lekarze Graber, Napora, ks. Huczyński i sanitariusz, ranni byli lekarze Mo., Ma. i Pa. — i kilkunastu sanitariuszy.

Nie dał się zachwiać szef. sł. zdrowia — odciągnął G.P.O. o parę stajań — tu w ten wąwozik i kazał mu zostać.

Znowu spotykam ś. p. dr. Rymkiewicza *), znowu krew na lekarzach; — mówimi, że dr Sz., liczący siedemdziesiąt lat, stoi już całą noc przy stole operacyjnym (stał tak i cały dzień i całą noc następną).

Przy G.P.O., z powodu jego masakry, pracuje dodana czołówka operacyjna angielska **).

Na stole operacyjnym strzelec, twardy Ślązak. Ręka poszarpana, kość strzaskana — leży na stole bez narkozy, pali papierosa w czasie operacji. Dr Sz. operuje.

W namiocie transfuzyjnym — napięcie cichego misterium. W półcieniu szereg leżaków, na nich ludzie, w których z rezerwuarów umieszczonych wysoko — wsącza się krew. Ciała ich długo i bezsilnie broczyły po samotnych żlebach. Dusze ich już szły w zaświaty. Spotkała je wiedza i zawraca do ciała.

Cicho, długie kwadranse wsącza się krew.

Na boku trzech biedaków, o których nie wiadomo, czy wiedza będzie miała czas podejść do nich, wziąć za rękę i odprowadzić z powrotem do świata żywych. To — ci, którym pociski poprzerywały przetoki brzuszne, wywalając jelita. Laparatomia —zabieg otwarcia jamy brzusznej, przejrzenia jelit i zapakowania ich z powrotem do jamy brzusznej, wymaga dwóch godzin czasu.

Ale dwie godziny czasu chirurga w to krwawe żniwo nie ma w ogóle ceny. Nosze z biedakami odstawia się na bok, aby „czekali kolejki, aż się innych załatwi". Jest to eufemizm. Bo wiadomo, że nie załatwi się ich nigdy. Głuchy grzmot armat mówi, że każda chwila na to pracuje, aby kolejka nie skończyła się nigdy.

Uparł się stary doktór, wyszparował czas, wziął na stół, pozaszywał brzuchy, wepchnął w życie tych, co już leżeli w grobie. Kiedy potem, zwiedzając szpitale, szedł przez wypełnione sale, wyciągały się do niego ręce — to go witali ci, uratowani.

Przed namiotami leżą czekający na ewakuację. Przeszedł już tędy mjr. Ch. z PALU, ranny w rękę, z przebitym hełmem. To była pierwsza wiadomość po przyjściu na punkt dowodzenia — że „Paleta 2 zniszczona". Teraz poczną się sprawdzać żywymi znakami: w terenie bezcielesne meldunki nocne.

Przeszedł już przez ewakuację kpt. K. z saperów, ranny w twarz i ranni porucznicy S., K., D. ... Bezpłodny trud notować nazwiska — to nie wypadek samochodowy, nie wybuch prochowni, nie żadna katastrofa, która się zdarzyła i przeszła, to jest sprawa — która trwa.

Żołnierze leżej rani, pokrwawieni, brudni, w mundurach porwanych przy czołganiu się, chciwie zaciągają się papierosami. Zabawne: biorąc papierosa, trzaskają obcasami z wojskowym fasonem — te obdartusy, którym oczy goreją.

Zaciągają się dymem z pełnym poczuciem zadośćuczynienia, że wracają w normalny świat. Mówią o poległych — już wiadomo o kpt. Swieściaku, o kpt. Janickim — ale prawdę trzymają jeszcze te góry, huczące kanonadą.

„Narżnęliśmy szwabów!" — mówią żołnierze. Opowiadają o rozwalonych bunkrach. Nie podejrzewają — że atak się załamał. To są ci ranni — z najpierwszej fazy.

Zajeżdżają sanitarki. Nowy transport siada, by jechać drogą na Acquafondata, drogą, na której wiszą tabliczki „nie bądź głupi — nie daj się zabić". Oni nie byli głupi — nie dali się zabić. A ta droga, dosyć straszna dla wjeżdżających, jest drogą najprzytulniejszą w świecie dla wyjeżdżających długim sznureczkiem ewakuacji sanitarnej: przeszli już B.P.O., W.P.O., G.P.O. — obecnie przejdą przez C.C.S., przez punkt przeładunkowy w Bojano, przez szpital tranzytowy w Campobasso, przez punkt przeładunkowy do pociągów sanitarnych w Termoli — aż w dół buta włoskiego, do szpitali w okolicach Motoli.

Ci, gramolący się samodzielnie do sanitarek — wrócą przeważnie do oddziałów.

Innych niosą. Odrzucone twarze, trawione cierpieniem. Twarze zczerniałe, z których wytrawiło się wszystko ziemskie. Czoła jaśniejące blaskiem. Chłopskie twarze o wydatnych kościach policzkowych, surowe, ekstatyczne.

Ci ludzie są przeważnie w szoku. Dobroczynny szok — naturalna morfina organizmu.

Wielu z nich znajdzie się na protezowaniu w Anglii. Wielu — na koloniach inwalidzkich w Południowej Afryce. Ale szok minie, prawda — zostanie.

Ruszył krwawy kondukt, wiewając ślepiom Cairu czerwonymi krzyżami flag.

Pod prąd kolumny przedzierał się łazik; to z odprawy wracał mjr. B. — dowódca batalionu stacjonowanego w tym tu przepiórczym wąwozie — jedynego batalionu Kresowej Dywizji, niezaangażowanego tej nocy.

*) Z książki o Monte Cassino.

**) Samoloty bezpośredniego wsparcia wyleciały w tym dniu 12 maja dopiero po rozsianiu się mgły, o godzinie 9-ej.

Wsparcie bezpośrednie 2. Polskiego Korpusu wyraziło się w tym dniu w 216 lotach. Jeśli wziąć pod uwagę, że bezpośrednie wsparcie lotnicze dla reszty VIII armii wyraziło się cyfrą 202 lotów i dla V armii — 304 lotów, to zobaczymy, że dla Polaków, jako atakujących najtrudniejszy teren, oddano 43% wsparcia całego walczącego frontu.

Cóż kiedy ze względu na bliskość pozycyj polskich i niemieckich nie można było razić ani niemieckiej piechoty ani nawet niemieckich moździerzy. Tylko 20 lotów było skierowanych przeciw moździerzom, tylko 12 na niemieckie przeciwnatarcia, całych 160 na zwalczanie niemieckiej artylerii i 24 — na Klasztor.

*) Poległ w operacji adriatyckiej.

**) Oto urywek z angielskiego listu: „Teraz pracujemy z Polakami. Jest wielce zabawne czasem, jak się usiłujemy porozumieć. Mimo tego są bardzo pomocni i nic nie jest dla nich trudnością. Wierz mi, że oni wkładają swe serce i duszę w swą pracę i są przejęci myślą o walce wspólnie z angielskimi chłopakami. Oni mieli dwie sekcje chirurgiczne, wielu z nich zginęło i to jest dowodem, że jesteśmy z nimi razem".

Biuro poszukiwań

W Delegaturze P.C.K. przy Dowództwie czynne jest „Biuro poszukiwań" zaginionych jeńców, przesyłka listów etc.

Godziny urzędowania od 9-3 g. Corso Umberto 303 II p.

DZIELNA KRÓLOWA-POLKA

Sławne powiedzenie Paskala o nosie Kleopatry i ewentualnym wpływie jego długości na historię świata zwraca uwagę w sposób może najbardziej dobitny na rolę kobiet w tworzeniu dziejów. Staje się ona widoczna zwłaszcza oglądana od strony „podszewki", ukrytych sprężyn, które (nieraz dla błahych przyczyn) wprawiają w działanie skomplikowane aparaty państwowe.

Wojna „dwóch róż" i rozprawa Elżbiety z Marią Stuart — oto dwa przykłady, najłatwiej rzucające się w oczy. Także na terenie Europy środkowej kobieta stała się przyczyną lub przynajmniej pretekstem konfliktu zbrojnego. Jeden z poważnych historyków starej szkoły (trudno go posądzić o zamiłowanie do efektownych tytułów) Karol Szajnocha, nie zawahał się nazwać go „Wojną o cześć kobiety".

W odległych czasach, gdy mocne charaktery niejednokrotnie stawały się żerem dla silnych namiętności czy uczuć, wypadki takie zdarzały się dość często.

O jednym z konfliktów, spowodowanych przez kobietę, opowiada nadzwyczaj żywo i interesująco ks. prałat Walerian Meysztowicz w broszurze francuskiej: „Elisabeth de Pologne, reine de Hongrie". (Watykan 1943). Za każdym zdaniem narratora kryje się w niej historyk, który dla jasności wykładu umieścił skromnie w przypiskach końcowych poważny swój aparat naukowy (t. j. cytaty i bibliografię).

Ciekawa to postać — ta Elżbieta Łokietkówna, córka małego wzrostem wielkiego budowniczego, który z dzielnic stworzył Polskę, siostra Kazimierza, (potomność obok demokratycznego przydomku „Króla chłopków" zapewniła mu miano „Wielkiego"), matka władcy Węgier, obdarzonego jałusznie takim samym epitetem. Jakby skazana na wielkość, odpowiada ona godnie zaletami charakteru i umysłu męskiej linii Piastów.

Wydana w roku 1320 za Karola Roberta, króla Węgier, była jego mądrym towarzyszem, najlepszym pomocnikiem, dzielnym obrońcą i żoną równocześnie. Po śmierci męża czuwa bacznie nad rozrostem Węgier i polityką dynastyjną następcy, swego syna Ludwika. Nie tylko on, lecz wielu królów i papieży odwoływało się w licznych wypadkach do jej autorytetu, nie wstydząc się zasięgnąć rady kobiety. Specjalnie zapewnienie tronu polskiego swej wnuczce Jadwidze, a co za tym idzie pośrednio związanie Polski i Litwy w długotrwałej unii, dobrze mówi o talentach politycznych królowej — regentki. (Nadanie takiego kierunku radzie panów, który zmusi młodą narzeczoną Wilhelma poślubić Jagiełłę — było w dużej mierze jéj dziełem. Patronowała mu ona jakoby już zza grobu.)

Niestety mądra Łokietkówna miała spotkać w swym długim życiu drugą kobietę o fatalnym wpływie na historię. Była nią Joanna, królowa Neapolu. Opis tego konfliktu stanowi główny temat broszury ks. W. Meysztowicza. Oto w skrócie jej miąsz — dla tych, co nie znają języka francuskiego.

Drugi syn Elżbiety, kandydat do tronu „obojga Sycylii", Andrzej, wychowywał się na dworze Neapolu wraz z przyszłą swą małżonką, Joanną. Związek ten przychodzi rzeczywiście do skutku, lecz energiczna Joanna nie zamierza bynajmniej oddać tronu mężowi; pragnie z niego uczynić „konsorta", księcia — małżonka. Elżbieta, której krzyżuje to plany dynastyczne, przyjeżdża do Neapolu „zrobić porządek". Pod jej naciskiem Joanna godzi się na koronację męża. Po odjeździe teściowej Joanna zdecydowała się jednak na zbrodniczy krok. Zaufani jej ludzie duszą Andrzeja, kilka dni przed koronacją (1345 r.) Oczywiście oznacza to wojnę z mścicielami mordu, królem Węgier i jego matką. Dwie kolejne wyprawy niszczą ziemie Joanny: ona sama musi się oczyścić z zarzutu mężobójstwa. (formalnie pomaga jej w tym wyrok papieża, niechętnego wpływom węgierskim we Włoszech). W roku 1352 następuje rozejm. Ludwik ma inne kłopoty.

Joanna staje się jakby prototypem o 400 lat późniejszej carycy Katarzyny II-ej. W swym bujnym życiu miłosnym wiąże się wpierw z Robertem z Taranto, poślubia jego brata Ludwika, potem Jakuba, pana na Majorce, wreszcie Ottona Brunszwickiego. Lecz obawa przed dawną teściową nie daje jej spokoju. Co gorsza, Joanna nie ma dzieci, i lęka się, że po jej śmierci Andegawenowie Węgierscy opanują królestwo Neapolu. Szuka więc wyjścia.

W roku 1378 papieżem zostaje nieprzychylny jej Urban VI. Joanna decyduje się udzielić poparcia wrogim mu kardynałom; pod jej ochroną ogłaszają oni manifest o nieformalnym wyborze Urbana, przeciwstawiając mu „antypapieża". Klemensa VII. T. zw. „schizma zachodnia" kościoła jest już dziełem dokonanym. Za sprawą Joanny kardynałowie dają gorszący przykład rozłamu. Do sporu o tle częściowo politycznym („antypapież" jest Francuzem) mieszają się obecnie dwie strony, zainteresowane królestwem Neapolu. Zasięg zatargu staje się coraz rozleglejszy.

Z jednej strony Elżbieta i Ludwik popierają Karola, księcia Durazzo jako kandydata na tron; uzyskuje on ponadto aprobatę Urbana VI. Joanna adoptuje Ludwika ks. Andegaweńskiego (z linii francuskiej). Pobłogosławiony przez antypapieża Klemensa VII, rezydującego w Avinionie, ma on bronić praw swej nowej matki. Karol jest silniejszy, działa szybciej; zdobywa Neapol i wtrąca do więzienia Joannę, gdzie niedługo później (w sierpniu 1381) umiera ona. W rok później umiera jej niedołężny obrońca, Ludwik ks. Andegaweński, i sprawa sukcesji jest przesądzona. Co do Elżbiety, nie wiadomo, czy doczekała się śmierci swej występnej synowej. Jeśli umarła w grudniu 1380, a nie w rok później (jak podaje jedno ze źródeł) nie mogła już słyszeć o wypadkach z sierpnia 1381. Sprawiedliwości tej doczekał się jednak jej syn, Ludwik Węgierski.

Broszura ks. W. Meysztowicza ma — zdaniem moim — jedną wadę kompozycji. Nie skupia zainteresowania na centralnej postaci Elżbiety, lecz opowiada o wielu problemach i wypadkach, związanych z jej długim panowaniem i życiem. Przy takiej kompozycji postać wychodzi mniej widoczna; o wiele wyraźniej rysuje się np. Joanna.

Za wielką zaletę uznać trzeba fakt, iż rzadko zdarza się czytelnikowi przy małej objętościowo lekturze wchłonąć tak dużą ilość wiadomości w sposób równie przyjemny. Na kilkudziesięciu stroniczkach pracy autor pomieścił olbrzymi wprost zasób faktów i skomplikowanych niejednokrotnie zagadnień. Poza tym prawda historii nie ucierpiała nigdzie na rzecz efektownego przedstawienia wypadków. Znalazła tu najlepsze zastosowanie trudno osiągalna zasada „Roju": „Nie nudzić-ucząc; nie kłamać — bawiąc".

Francuska szata broszury, poprawna, nie sili się na elegancję, co jest również jej zaletą. Kilka łatwych do poprawienia błędów zostało widocznie przepuszczonych przy korekcie. **Dr Zygmunt Markiewicz**

JÓZEF WŁODARKIEWICZ

ZAKOŃCZENIE SEZONU SPORTOWEGO

Niedawno w Rzymie odbyło się rozwiązanie reprezentacyjnej drużyny piłki nożnej 2. Korpusu, która na zaproszenie brytyjskich władz wojskowych rozegrała 6 meczów z najsilniejszemi zespołami brytyjskimi we Włoszech. Piłkarze, po krótkim odpoczynku, rozjechali się do swoich oddziałów, reprezentacyjne, biało - czerwone dresy z godłem syreny znalazły się w skrzyniach referatu W.F. i pozostaną tam do następnej okazji. W ten sposób z kończącym się rokiem 1944 zakończony został „wielki sezon sportowy" 2. Korpusu.

Poszczególne sprawozdania umieszczone w „Dzienniku Żołnierza", urywkowe opowiadania naocznych świadków, którzy byli na tym i owym meczu „wielkości" tej nie obrazują; dlatego korzystne będzie retrospektywnym spojrzeniem ogarnąć wszystkie imprezy sportowe 1944 roku, w którym reprezentacja 2. Korpusu wzięła udział.

6 października 1944 r. w Anconie utworzono treningowy obóz sportowy, na który jednostki liniowe 2. Korpusu przysłały swoich lekkoatletów i piłkarzy.

Lekkoatletyczna reprezentacja Korpusu, po tygodniowym przygotowaniu kondycyjnym, wzięła udział w Międzyalianckich Zawodach Lekkoatletycznych obok reprezentacyj armii: amerykańskiej, brytyjskiej, i południowo - afrykańskiej. Zawody rozegrano w Anconie w czasie od 11 - 15 października ub. roku, starowało w nich 287 lekkoatletów.

Reprezentacja 2. Kopusu była nieliczna— składała się tylko z 7 lekkoatletów, wyłącznie żołnierzy frontowych. Mimo braku odpowiedniego przygotowania wykazała ona jednolicie wyrównany poziom ogólny. Wszyscy Polacy weszli do finałów. Nie mogła się tym poszczycić żadna inna reprezentacja. Dnia 15 października w rozgrywkach finałowych największy sukces uzyskaliśmy w pchnięciu kulą. Zgłobicki zajął pierwsze miejsce (12 mtr. 66 cm.), a Matysiak trzecie.

W tym czasie kiedy lekkoatleci przygotowali się do zawodów i startowali — piłkarze pilnie pracowali w drużynach swoich jednostek podciągając kondycję i szlifując formę przed rozgrywkami o puhar Dowódcy 2. Korpusu gen. dyw. Władysława Andersa. Turniej piłki nożnej reprezentacyj wielkich jednostek liniowych o puhar Dowódcy Korpusu został rozegrany w dniach od 17 do 21 października. Puhar zdobyła drużyna „Ramienia Pancernego" przed drużynami „Swierków" i „Żubrów".

Polskie mecze puharowe rozegrane na stadionie w Anconie zwróciły uwagę brytyjskiej Komisji Sportowej 61 Area, tym bardziej, że w spotkaniach treningowych drużyny polskie biły wysoko (n. p. 7 : 0 i 10 : 2) miejscowe drużyny angielskie. Ruchliwa Komisja Sportowa zaproponowała rozegranie w Anconie meczu pomiędzy reprezentacją 2. Korpusu a reprezentacją 61 Area.

Po uzyskaniu zgody właściwego dowództwa polskiego kierownik referatu W.F. ustalił skład reprezentacji piłki nożnej 2 Korpusu, do którego weszli najlepsi gracze: „Swierków", „Ramienia pancernego" i „Żubrów". Reprezentacyjna drużyna 2. Korpusu rozpoczęła systematyczny trening pod kierunkiem trenera PZPNU-u Krasonia.

Pierwsze spotkanie z Brytyjczykami odbyło się dnia 29. października w Anconie wobec 12.000 widzów. Zaimponowaliśmy publiczności grą — uzyskaliśmy jak najlepszą ocenę w miejscowej prasie angielskiej, ale nie mając rutyny spotkaniowej i zrozumienia zespołowego przegraliśmy 1:0...

Na meczu tym był obecny kierownik Wychowania Fizycznego D-twa Międzyalianckiego, który bardzo wysoko ocenił wartość naszej drużyny i widząc w niej przeciwnika sportowego wysokiej klasy zaproponował dalsze spotkania z silniejszymi zespołami brytyjskimi. Ułożenie terminarza spotkań i doborem drużyn, z którymi mieliśmy grać, zajęła się Międzyalianckа Komisja Sportowa.

Nie od nas więc zależało, że naszym następnym przeciwnikiem dnia 12 listopada w Rzymie okazał się „British Touring XI" — drużyna, w której znaleźli się rzeczywiście najlepsi, wyłącznie zawodowi, piłkarze brytyjscy znajdujący się na ziemi włoskiej.

Szczegółowe sprawozdanie z tego meczu umieszczone w „Dzienniku Żołnierza" wyjaśnia przyczyny naszej porażki w stosunku 10:2. Tutaj mamy okazję dodać, że „British Touring XI" — obecnie już rozwiązana — nigdy przed tym i nigdy po tym nie wystąpiła w takim składzie jaki grał przeciwko nam w Rzymie. Był to skład rzeczywiście doskonały, który przerastał o klasę wszystkie reprezentacje i zespoły brytyjskie, z którymi spotykaliśmy się w Bagdadzie i gdzieindziej.

„British Touring XI", jeśli występowała w składzie silniejszym, biła bez trudu najsilniejszych przeciwników.

Opierając się jednak na cyfrach nie można było wyrobić sobie pojęcia o poziomie „British Touring XI", która każdy niemal mecz grała w innym składzie. Nie można mieć pretensji do naszych chłopców, że w Rzymie dali się zaskoczyć...

Plama porażki rzymskiej — jeśli w ogóle ją tak można traktować — została jednak zmyta przez reprezentację 2. Korpusu dwukrotnie: raz we Florencji i raz w Bari.

We Florencji dnia 22. listopada drużyna polska pokonała w stosunku 2:1 reprezentację V armii, która dwa dni przed tym wygrała z „British Touring XI" na tym samym stadionie również 2:1.

Była to jednak rehabilitacja — że tak powiem — pośrednia. Bezpośrednią rehabilitację uzyskała drużyna nasza w Bari dnia 2 grudnia grając z zespołem, w którym występowali prawie wszyscy najlepsi piłkarze „British Touring XI" z Cullis'em, Bryn Jones'em, i Murphy'm na czele. Tym razem drużyna brytyjska wystąpiła pod nazwą reprezentacji miejscowej Area. Przegraliśmy ten mecz w stosunku 2:3, ale na 8 minut przed końcem pierwszej połowy gry prowadziliśmy 2:0. Brytyjczycy nie ukrywali swego zdziwienia, że liczyli się z wysoką wygraną podobną do rzymskiej...

W sposób jeszcze bardziej przekonywujący została zrehabilitowana porażka naszej drużyny 0:1 w Anconie. W rewanżowym spotkaniu, które odbyło się dnia 10 grudnia wygraliśmy 5:0.

Bardzo sympatyczny mecz rozegrany dnia 26 listopada w Sienie, gdzie pokonaliśmy tamtejszą reprezentację w stosunku 5:1, oceniać należy raczej pod kątem propagandy.

Ogólny bilans 6 spotkań drużyny 2. Korpusu z najlepszymi zespołami brytyjskimi we Włoszech przedstawia się remisowo jak 3:3. Trzy przegrane, trzy wygrane. Stosunek bramek również remisowy: 16 straconych na 16 uzyskanych.

Ogólnie w 7 meczach reprezentację 2. Korpusu oglądało około 60.000 przeważnie brytyjskiej publiczności.

Mecz z reprezentacją Bazy wykazał, że aczkolwiek drużyna jednostek liniowych 2. Korpusu jest bezwzględnie lepsza jako zespół — to w reprezentacji Bazy znajdują się poszczególni piłkarze, którzy powinni wejść do ogólnej reprezentacji Korpusu.

Drużyna „Gryfów", na której opiera się reprezentacja Bazy, już teraz może być groźnym przeciwnikiem dla poszczególnych drużyn wielkich jednostek 2. Korpusu.

Jeśli chodzi o reprezentację jednostek liniowych 2. Korpusu, to w ciągu ubiegłego sezonu zyskała ona bardzo dużo na spotkaniach z silniejszymi Brytyjczykami. Na ostatnim meczu w Anconie zobaczyliśmy pokaz gry zespołowej taktycznie niemal doskonałej. Podkreślają to Brytyjczycy w swoich dziennikach w Anconie nazywając mecz 10 grudnia: „pokazem footbalu najwyższej klasy". Taka ocena brytyjskich znawców piłki nożnej jest najlepszym podziękowaniem dla naszej drużyny za jej wysiłek w ubiegłym „wielkim sezonie sportowym".

We Włoszech o perspektywach międzynarodowych

Niedawno w „Il Quotidiano" ukazał się ciekawy artykuł p. Federici, wybitnego publicysty włoskiego obozu katolickiego. Wywody jego zasługują na przytoczenie :

„Przymierze francusko-sowieckie, które zostało podpisane niedawno w Moskwie i którego terminy obecnie podano do wiadomości, jest wyrazem tendencji „Quai d'Orsay" do powrotu do swej tradycyjnej polityki, to jest do przymierza na wschodzie przed niebezpieczeństwem niemieckim. Do r. 1917 sprzymierzeńcem tym była Rosja; później, kiedy wewnętrzny wstrząs odsunął potęgę moskiewską od życia międzynarodowego — Polska. Dzisiaj powraca się do dawnej koncepcji i podpisanie układu w Moskwie rozproszyło resztę urazy francuskiej za zdarzenia z sierpnia 1939 r. Rosja pozwoliła wówczas, jak to wszystkim wiadomo, napaść na Polskę i oczekując na podział łupu ułatwiła i przyśpieszyła drugą wojnę światową.

Dzisiaj o tym zapomniano i nie będziemy z tego powodu ubolewali, jako że zawsze utrzymywaliśmy, iż by móc zaprowadzić pokój i zaufanie, potrzeba przede wszystkim umieć zapominać. Sprawa polska jest jednak w tej chwili żywsza niż kiedykolwiek, a politycy francuscy, jeżeli sądzić z pozorów, zupełnie się nią nie interesują. Prawda, że w tej chwili poparcie Francji mogłoby mieć znaczenie raczej moralne, niemniej dla Polaków byłoby ono może miłym świadectwem solidarności.

Poza tym przymierze francusko-sowieckie przypomina nam, że polityka danego kraju nie jest tylko abstrakcją. Jeśli Francja zawiera dziś przymierze antyniemieckie ważne na okres powojenny, należałoby stąd wywnioskować, iż, zdaniem paryskiego rządu, Niemcy po nastaniu pokoju potrafią jeszcze poważnie zagrozić spokojowi europejskiemu. Można jednak sądzić, że przy dzisiejszym układzie rząd francuski daleko więcej myśli o konferencji pokojowej, aniżeli o tym, co będzie po wojnie. Chodzi tu w gruncie rzeczy o wzmocnienie pozycji dyplomatycznej w przewidywaniu trudnych rokowań, w których stanowisko paryskiego rządu mogłoby się w mniejszym lub większym stopniu różnić od stanowiska sprzymierzeńców anglosaskich. Przymierze z Rosją powinno by zatem zapewnić Francji lepsze możliwości politycznej niezależności.

Co wzamian za to otrzymuje Rosja sowiecka? Pośrednio niemało: przede wszystkim ustalenie swego wpływu politycznego w zachodniej Europie; następnie zaś pełnię praw obywatelskich dla komunistów francuskich, którzy w ostatnich dniach sierpnia 1939 r., po pakcie niemiecko-sowieckim byli nazywani we Francji zdrajcami ojczyzny i odpowiednio traktowani. Z tego tedy punktu widzenia pakt moskiewski wzmacnia wpływ komunizmu na Zachodzie.

Inny epizod charakterystyczny dla burzliwego klimatu międzynarodowego stanowi mowa brytyjskiego premiera na temat sprawy polskiej. Churchill wyraził się zbyt jasno, by słowa jego wymagały komentarzy. Na krótko przed wojną europejską polityk, w którego interesie leżało bardzo, by nie dopuścić do zlania się Austrii z Niemcami, próbował się usprawiedliwić wyjaśnianiem, że kiedy wydarzenie „jest nieuniknione" lepiej by „nastąpiło raczej z nami niż przeciwko nam". Jest rzeczą możliwą, że tą samą regułą kieruje się dzisiaj polityka angielska. Ale perspektywy, jakie się stąd otwierają na przyszłość, nie są bynajmniej różowe. Dopuścić do tego, by wschodnie połacie Polski włączone zostały do Unii Sowieckiej, oznacza przeszkodzić jakiejkolwiek stałej współpracy pomiędzy Rosją a Polską, która byłaby naprawdę, a nie tylko pozornie niepodległa. Oddać wzamian za to Polsce wielkie obszary na Zachodzie znaczy otworzyć pomiędzy Polską i Niemcami nową, nigdy nie mogącą się zapełnić przepaść.

A jeżeli i Nadrenia miałaby być podzielona, a Francja otrzymałaby upragnioną granicę Renu, wówczas bardziej jeszcze utrwaliłby się zatarg francusko-niemiecki. Podobne perspektywy rozdźwięków, świadome lub nie, wydaje się stanowią dziś podstawę przyszłego pokoju. Należy przyznać, że nie jest to zachęcające.

Katoliccy księża litewscy zamieszkujący Stany Zjednoczone zwrócili się z apelem do Prezydenta Roosevelta, by nie zgodził się na przyłączenie Litwy do Sowietów, gdyż wówczas religia chrześcijańska tego narodu w 85 procentach katolickiego uległaby zniszczeniu. ..... Nasza obawa, że religia na Litwie narażona jest na niebezpieczeństwo zupełnego zaniku w razie wcielenia tego kraju do Związku Sowieckiego, opiera się na doświadczeniu z przeszłości. Komunistyczna inwazja rosyjska od czerwca roku 1940 do 1941 pokazała to już zbyt dobrze. W okresie tym wszystkie żywotne instytucje katolickie jak seminaria, szkoły, klasztory, prasa i inne organizacje, zostały zniesione. Z tego powodu : w imię Ligi Amerykańskiej Katolickich Księży z Litwy, która reprezentuje milion katolików litewsko-amerykańskich, zwracamy się z serdeczną prośbą do Pana, Panie Prezydencie, o obronę chrześcijaństwa i o zabezpieczenie praw Boskich do życia, do wolności i do spokojnego rozwoju na Litwie".

Nie wiemy, czy ten krzyk zostanie wysłuchany. Potwierdza on w każdym razie umiłowanie życia wolnego w zgodzie z prawem, które posiadają wszystkie narody, do rozporządzenia dowolnie własnymi losami. Łączy się on też z innymi podobnymi wystąpieniami siostrzanych republik bałtyckich. Estonii i Łotwy. Wszystkie one wołają o zastosowanie Karty Atlantyckiej, to znaczy o prawdziwą niepodległość i o prawdziwą wolność; jeśli jednak w rozmowach dyplomatycznych i w polemikach prasowych mówi się o zagadnieniu polskim, to sprawy republik bałtyckich nikt nie porusza, lękając się może, by nie wysunąć nowych przyczyn zakłócenia równowagi i tak już dosyć zagrożonej.

Nie znaczy to jednak, by zagadnienie to nie istniało i nie posiadało dużego moralnego znaczenia. Sześć milionów ludzi, którzy nigdy nikomu nie zagrażali, pragnie żyć swym życiem ubogim, ale wartym tego, by je przeżyć. Kto może odmówić tym ludziom prawa do życia? Nie są Słowianami, mają własną tradycję i własną cywilizację, głęboką wiarę religijną (katolicką, jeśli chodzi o Litwinów); od roku 1920 do 1940 wykazali dojrzałość polityczną i stały postęp gospodarczy oraz społeczny: dlaczego nie mieliby iść dalej drogą, na którą już wstąpili?

„Wybory" w r. 1940, przeprowadzone zaraz po okupacji sowieckiej, bez żadnej gwarancji wolności, kazały wyrazić ludom bałtyckim ich „gorące pragnienie" powrotu na łono wielkiej matki Rosji. Na nasze pytania możnaby zatem dać odpowiedź protokularną, że ludy bałtyckie same zadecydowały o swym losie i wobec tego dyskusję należy uważać za zamkniętą. Wiadomości jednak nadchodzące poprzez Szwecję o warunkach, w jakich się owe narody znalazły, najpierw pod okupacją niemiecką, teraz zaś na nowo pod panowaniem sowieckim, nie mogą być przyjęte obojętnie przez sumienie wolnego świata. A poza tym istnieje też wola tych, którym się jeszcze udaje wołać. Wołają oni o wolność w imię braci, którzy mówić nie mogą i cierpią w milczeniu, lub są przemocą oddaleni od ziemi ojczystej. Głosy owe błagają, by narody bałtyckie, tak ciężko doświadczone w ciągu całych wieków, nie zostały zmiażdżone czy unicestwione na zawsze; błagają o opiekę nad owymi wartościami chrześcijańskimi, w których imię narody anglosaskie chwyciły za broń.

W początkach XVIII wieku Rosja za Piotra Wielkiego stała się panią na Bałtyku i opanowała jego wschodnie wybrzeże. Po pierwszej wojnie światowej, odepchnięta w tył, mogła wyjrzeć na owe morze jedynie z głębi Zatoki Fińskiej. Dzisiaj powraca ze swymi zwycięskimi wojskami, a zmieniona terminologia polityczna nie zdoła zamaskować tego odrodzenia imperializmu.

I tak, jak wczoraj narody bałtyckie znosiły ucisk Szwedów i caryzmu, dzisiaj znoszą ucisk bolszewicki, a fikcja republik sowieckich niezależnych jedynie jaskrawiej podkreśla ich niewolę.

Narody litewski, estoński, łotewski chcą być wolne i niepodległe. Jeśli się sądzi, że Rosja ma prawo do strefy wływów, albo, jak mówił Hitler, do przestrzeni życiowej, to trzeba zdobyć się także na odwagę przyznania się do tego, i nie łączyć z uciskiem kpin i nieszlachetnego udawania czegoś innego. A jeżeli każdy naród ma prawo do tego, by nie poświęcano egoizmowi innych, wówczas republiki bałtyckie powinny móc odżyć w wolności, by swobodnie móc wyznawać wiarę swoich ojców".

Sprawy polskie w książkach angielskich

Polacy w Mirandzie

Katolicki dziennikarz belgijski Charles d'Ydewalle opowiada w wstrząsającej książce „*An Interlude in Spain*" *) o swoich przeżyciach po więzieniach i obozach hiszpańskich. Najdłużej przebywał w Mirandzie i tu miał sposobność zetknięcia się z licznymi Polakami. Pewien Hiszpan zauważył, że myślą oni tylko o jednym: jak się wydostać na wolność. „I to była prawda. Ten szczupły i przystojny Polak o oczach antylopy, który mówił po francusku jak student z Quartier Latin, był owładnięty jedną myślą: tak samo inny, który grał na gitarze i zorganizował chór, śpiewający pieśni ludowe. Rzeczywiście mieli tylko jedno na myśli. Pracowali nad tunelem". Ydewall dokładnie opisuje dzieje tych podkopów: nauczył się przy tym podziwu dla wytrwałości Polaków.

Pierwszy podkop przypadkiem wykryto: „Owego wieczora, w ciemnościach, skrzypce polskie w rozdzierający sposób odtwarzały Chopina", którego przy świetle Polacy nigdy niemal nie grali: nie chcieli mieć świadków swych łez i wzruszenia. Następnego dnia przystąpiono do pracy nad drugim tunelem. Rywalizowały ze sobą dwie grupy Polaków, przy czym oba tunele, jak ramiona nożyc, miały spotkać się poza obrębem drutu kolczastego: „Rzadko w ciągu swych wspaniałych dziejów naród polski zdobył się na tyle dyscypliny". Tym razem podkop wykryto wskutek nieopatrzności innego Polaka, na pół idioty, który zdyskwalifikowany przez towarzyszy, rozpoczął robotę nad trzecim tunelem na własną rękę. Nieszczęśnika srodze ukarano, łamiąc mu nos i podbijając oczy. Od zlinczowania uratował go major, również Polak, który nadto osłonił pewnego Żyda, podejrzanego o ujawnienie przed władzami tajemnicy tunelu. „Chopin był na wokandzie: pijaństwo i żałobne kadencje napełniały ciemność żalem i rozpaczą".

Internowani w Mirandzie zajmowali się najróżnorodniejszymi rzeczami. Dwaj Polacy, Kazimierz i Henryk, chemicy z zawodu, założyli małą dystylarnię: z tuzina butelek czerwonego wina hiszpańskiego wydobywali kwartę tęgiego spirytusu. Kazimierz po pijanemu stawał się niebezpieczny. Na zbiórce udawał, że się ślizga, padał na ziemię wśród krzyków i śmiechu, po czym rzekomo zbierał pełnymi garściami śnieg. Wygłaszał diatryby przeciw dyktatorom i ze słowami: „Ahajo los Tyrannos... Abajo los Dictaturas... Abajo... Abajo..." wracał do haraku. Kiedyś Ydewalle go zaczepił: „Był pan wczoraj bardzo wesoły, panie Kazimierzu"... „Nie, panie Ashley, byłem bardzo smutny, i to bardzo smutny. Usiłowałem znaleźć lekarstwo na to co nazywacie... Jak to nazywacie?". — "Przygnębienie" — „Właśnie. Tak, panie Ashley. Spirytus przepędza je, wprawdzie tylko na chwilę, ale dobre i to...".

Inny Polak, straciwszy nadzieję wydostania się z obozu, zgodził się na proponowany mu przez Gestapo powrót do Kraju. Z tego powodu otoczony był atmosferą niechęci i podejrzliwości, traktowany jak dezerter. Pewnego pięknego poranka zjawiła go policja niemiecka i skierowała przez Hendaye do obozu koncentracyjnego na Śląsku. Ale ów Polak od dawna już żył życiem więźnia, który ma zamiar uciec, rozwinął w sobie zmysł spostrzegawczości, w czasie podróży żaden szczegół nie uszedł jego uwagi, w końcu „zniknął, nie pozostawiając śladów, zsunął się w ciemność, cień wśród cieni, w starych sandałach więziennych. Kiedy przyjechałem do Londynu, był u kresu swoich kłopotów. Przyszył z Mirandy drogą okrężną".

W galerii mirandczyków wyróżniał się pewien Polak z Ukrainy, umiejący rozkoszować się życiem i szczęśliwy nawet w więzieniu. Miał wesołą twarz, ogromne wąsy i ciało wytatuowane od stóp do głowy: „Syreny, wielkoludy, uhelmione Minerwy, salamandry, potwory morskie — został hojnie obdzielony wszystkim co mogła stworzyć wyobraźnia specjalistów w wielkich portach w celu przyozdobienia skóry marynarza czy legionisty... Przypominał malowidła na ścianach klasztorów bizantyjskich". Długie lata służby w Legii Cudzoziemskiej wyrobiły w nim poczucie honoru i dyscypliny, nauczyły szacunku dla pracy. W obozie pełnił funkcje ordynansa przy bogatszych więźniach. Prał im bieliznę, gotował, obierał kartofle, czyścił ubikacje — pracował od rana do wieczora. „Reprezentował bardzo piękny typ człowieka". „Kto inny. Żyd, zarabiałby pieniądze przy pomocy w handlu i oddawał je na procent. Ten zarabiał pracą swoich rąk i zarabiał na wesoło. Pił także na wesoło". Pić potrafił jak pije chłop z Turenii w czasie winobrania: dwa litry w południe, trzy wieczorem. „Był to krępy, mocno zbudowany człowiek, jakimi byli Francuzi z czasów Moliera i Henryka IV. Pod pewnymi względami Polska przypominała osiemnastolenią (eighteen-year-old) Francję".

Autor nie szczędzi najpochlebniejszych słów swoim polskim towarzyszom: „Powiedzmy sobie szczerze, że w takich czasach najprzyjemniejszymi ludźmi są ludzie z wielkiego świata (greater world), a wśród Polaków niemało było ludzi wykształconych. Byli oni dowcipni i inteligentni, znali się na dobrej literaturze", nigdy nie przestawali być cywilizowanymi ludźmi. Kiedy autor opuszczał Mirandę, „rozmawiali jak rozstający się z sobą dyplomaci, którzy czekają na express na Gare du Quai d'Orsay w Paryżu czy Victoria Station w Londynie. „Spotkamy się niebawem" — mówili ze spokojną pewnością obywateli wielkiej republiki ludzi cywilizowanych, mimo że nikt z nich nie przypuszczał, iż wydostanie się z Mirandy przed końcem wojny. W szpitalu mirandzkim „lekarz-Polak i dwaj ordynansi dokazywali cudów bez grosza wynagrodzenia. Była to naprawdę manifestacja istotnie chrześcijańskiego miłosierdzia".

Poza tym Polacy przodowali także w footballu i... w bridżu.

Polacy w Tobruku

Alaric Jacob, korespondent wojenny „*Daily Express'u*", w książce, poświęconej wrażeniom z kampanii afrykańskiej i rosyjskiej oraz odwiedzinom Indyj, opowiada o spotkaniu z Polakami w drodze do Tobruku.

Jacob opuścił Aleksandrię na stawiaczu min „Latonia", na który załadowano pięciuset żołnierzy polskich, część brygady, jadącej zluzować załogę Tobruku. Okręt był przepełniony, po pokładzie trudno było się ruszać. Niektórzy żołnierze zabrali psy. Pewien sierżant miał skrzypce; dawniej wykładał w konserwatorium warszawskim, obecnie jechał, aby zorganizować w Tobruku orkiestrę. Uwagę Jacoba zwracał żołnierz wysokości sześciu stóp. W typie napoleońskiego gwardzisty, o wąsach niezwykłej długości, uczesany „en brosse": wycinał właśnie w drzewie polskiego kawalerzystę.. „Jest jakby nie na miejscu na tym szybkim okręcie wojennym, śpiesząc na pustynię, by wziąć udział w wojnie karabinów maszynowych i samolotów".

Niektórzy z Polaków należą do „starego" typu chłopów, dostrojonych do rytmu koni i do palby ze strzelb. Obok nich mamy oczywiście „pierwszorzędnych myśliwców lotniczych i doskonałych techników", ale należy przypuszczać, że w chłopskim narodzie polskim należą oni do rzadkości. Żołnierze polscy są „wspaniałymi typami (splendid fellows)", lecz patrząc na nich Jacob nie może powstrzymać się od żalu, że Wielka Brytania nie rozpoczęła wojny z powodu Czechosłowacji zamiast z powodu Polski. Tak byłoby lepiej zarówno z punktu widzenia ideologicznego, jak technicznego.

Wszelako — ciągnie dalej Jacob — cztery tysiące Polaków płynie teraz do piekła tobruckiego, „by krwawić i umierać za wspólną sprawę", podczas gdy kwiatowi „nowoczesnej zmechanizowanej armii" czeskiej nie tylko nie dano okazji do walki, ale zmuszono go do robienia broni dla Niemiec w tych samych fabrykach, które powinny były pracować „dla nas".

Oczywiście, taki drobny fakt, że — mimo braku „nowoczesnej zmechanizowanej armii" Polacy c h c i e l i się bić z Niemcami, uchodzi uwagi Jacoba, podobnie jak uchodzi jego uwagi fakt, że mimo rzekomego „spiskowania" z Niemcami przed wojną — o co nas posądza — nie Polska razem z Niemcami napadła na Związek Sowiecki, ale wręcz odwrotnie, Związek Sowiecki razem z Niemcami napadł na Polskę.

Jacob uważa się za „marxistę" (z pociągiem — jak sam wyznaje — do rozkoszy, zażywanych w krajach rządzonych przez feudalną arystokrację), znajduje jednak słowo uznania dla Polaków w związku ze wspólnymi operacjami Polaków i Nowozelandczyków, które doprowadziły do zajęcia dobrze bronionych pozycyj na zachód i południe od Gazali. Jacob podziwia znakomitą koordynację działań Polaków i Nowozelandczyków, nie bacząc na różnice geograficzne i językowe, jakie ich dzielą. „Pamiętając jak długo — dodaje Jacob — Polacy pomagali w utrzymywaniu fortu tobruckiego, trzeba przyznać, że dokonali wspaniałego dzieła, przeobrażając się z wojsk fortecznych w zmotoryzowaną piechotę — i do tego w pierwszorzędne oddziały szturmowe".

Jacob opowiada, że kiedy w czasie pobytu Churchilla w Moskwie, na jednym z przyjęć u Stalina podano „polską żubrówkę", mjr. Birse z ambasady brytyjskiej nachylił się do premiera i powiedział: „Niech mi pan wybaczy, ale jeśli wolno mi zwrócić uwagę... Nie piłbym tej wódki. Jest bardzo mocna i uważam, że bardzo idzie... do głowy (and I have found it verye-unsettling"). Birse nie był pewny, jak Churchill przyjmie jego uwagę, „ale Winston zauważył łagodnie : „O, doskonale, jeśli pan tak twierdzi..." i nie dotknął wody ognistej".

Jeszcze eskapada „Orła" Bartek i Kaczmarczyk

Stanley Rogers*) opisuje w książce „Hazards of War" kilkanaście heroicznych dokonań z obecnej wojny, które świadczą o niezwykłym m stwie i wytrwałości biorących w nich udział żołnierzy, lotników i marynarzy.

Osobny rozdział p. t. „Running the Gauntlet" poświęcił autor epopei „Orła", słynnej ucieczce z Tallina do Szkocji. Dzieje jej znane są każdemu Polakowi, relacja Rogersa przynosi kilka mniej znanych szczegółów.

Okręt podwodny „Orzeł", tej samej klasy co „Sęp", wybudowano ze składek Polskiej Ligi Morskiej, w r. 1939 we Vlissingen. Załoga jego liczyła 56 ludzi. Uzbrojony był w 3 1/2-calowe działo pokładowe, w dwa 40-milimetrowe działka przeciwlotnicze, w osiem 21-calowych wyrzutni torpedowych. Dowódcą „Orła" w chwili wybuchu wojny był komandor Kłoczkowski, ale wskutek choroby pozostawiono go w Tallinie. W zastępstwie dowództwo objął komandor Grudziński, przy czynnej współpracy podporucznika Piaseckiego. Autor podkreśla nielojalność władz estońskich, które popełniły grube nadużycie próbując — wbrew postanowieniom prawa międzynarodowego — internować „Orła". Naprzód kazano „Orłowi" przez 24 godziny czekać na odejście frachtowca niemieckiego „Thalappa", potem zawiadomiono dowódcę, że ponieważ „Orzeł" dłużej niż 24 godziny przebywał w neutralnym porcie musi zostać internowany. Z przewrotnością tą kontrastował szlachetny stosunek Polaków do dwóch zatrzymanych w czasie ucieczki z Tallina wartowników estońskich, których o półtorej mili od wyspy szwedzkiej Gotland wsadzono do jedynej łodzi „Orła", zaopatrzono w żywność i pieniądze (nie zapominając o butelce whisky) i pozwolono odpłynąć. Grudziński wręczył im list do admirała estońskiego, stwierdzający, że wartownicy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za to, co się stało. Rzeczą znamienną jest, że wyrazili oni chęć pozostania na „Orle", w obawie przed karą jaka czeka ich w Tallinie, ale Grudziński odpowiedział z pewną ironią, że w każdym razie będą bezpieczniejsi na lądzie niż na „Orle, który ma małe szanse przedostania się do Anglii. Radiostacja „Orła" powiadomiła jednocześnie rodziny więźniów, że znajdują się oni w Szwecji, nawet określiła w przybliżeniu miejsce lądowania, nie bacząc na niebezpieczeństwo ujawnienia pozycji okrętu.

Najdotkliwiej dawał się odczuwać brak map, które skonfiskowały władze estońskie.. Wprawdzie Grudziński pod pozorem łowienia ryb dokonał pewnych pomiarów w porcie tallińskim, ale dalsza droga w labiryncie Bałtyku była najeżona niebezpieczeństwami. Przez pewien czas liczono się z możliwością otrzymania map od „Rysia", który — ciężko uszkodzony — zmierzał do Szwecji, ale potem i ta nadzieja zawiodła. Całą drogę do Anglii odbyto na oślep. Pierwszy apel „Orła" z Morza Północnego potraktowano w Anglii jako trick niemiecki, ale na wszelki wypadek wysłano kontrtorpedowiec „Valorous". Gdy „Valorous" odnalazł „Orła", Grudziński zażądał przede wszystkim pomocy lekarskiej dla kucharza okrętowego, oraz wody, pożywienia i papierosów dla załogi.

Później „Orzeł" zatopił transportowiec niemiecki „Rio de Janeiro" oraz wziął udział w zatopieniu cysternowców „Posejdon" i „Kreta". Nie powrócił z patrolu w czerwcu 1940 r.

■

Sierżanci Bartek i Kaczmarczyk, Polacy amerykańscy, należeli do załogi latającej fortecy, która w październiku 1942 r. wystartowała z Honolulu na Australię, wioząc słynnego pilota kpt. Edwarda Rickenbackera na inspekcję placówek lotnictwa amerykańskiego na Oceanie Spokojnym. Samolot zbłądził i musiał lądować na morzu. Załoga spędziła 21 dni na tratwach gumowych, zanim dostrzegł ją patrolujący samolot. Bartek i Kaczmarczyk byli bez butów, bez okrycia głowy, przy czym Bartek wyszedł z przymusowego lądowania z ciężką raną na ręce. Szczególnie dokuczało rozbitkom słońce, wywołując porażenie skóry na głowie i twarzy. Kaczmarczyk pogarszał swój stan przez picie wody morskiej. Rickenbacker otaczał go najczulszą opieką, ale Kaczmarczyk — który choć niedawno opuścił szpital, z wytrwałością znosił cierpienia — umarł na dziesiąty dzień. Również i Bartek znajdował się w stanie zupełnego wyczerpania i gdyby nie nieoczekiwany ratunek, nie wytrzymałby zapewne trudów dalszego błądzenia po oceanie.

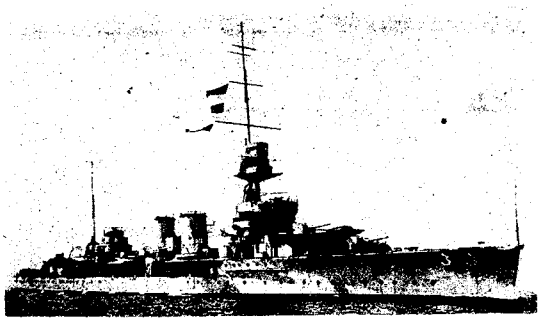

Polski krążownik „Dragon"

*) An Interlude in Spain, By *Charles d'Ydewalle*. Translated by *Eric Sutton*. Londyn, Macmillan, 1944; str. VIII i 212 i 4nl.

*) Traveller's War. A Journey to the Wars in Africa, India and Russia by *Alaric Jacob*. Londyn, Collins, 1944; str. 448.

*) Hazards of War. By S t a n l e y R o g e r s. With fifteen illustrations in halftone. Londyn, George Harrap, 1944; str 238 i tabl. 8.

PRZEGLĄD PRASY

Wschodnie granice Niemiec

Propaganda sowiecka i sowietofilska od pewnego czasu uporczywie usiłuje pomóc swoim roszczeniom do połowy Polski argumentem, że wzamian za ustępstwa na wschodzie Polacy będą mogli rozszerzyć swój stan posiadania na zachodzie. Tak stawia się sprawę dla dwóch powodów: przede wszystkim przez zasugerowanie opinii polskiej i Polsce przyjaznej mirażem zysków na zachodzie odwraca się uwagę od najistotniejszego zagadnienia t.j. czy na terytorium państwowym polskim będą mogli władać Polacy czy też manekiny, głupcy lub agenci, których karki będą zgodnie tworzyły ośli most dla mniej lub więcej zakamuflowanych rządów sowieckich. Po drugie, jeśli Rosja wyobraża sobie, że Polska będzie wciągnięta do jej systemu politycznego, bardzo to będzie jej zgrabnie imieniem cydzym a nie własnym składać postulaty terytorialne wobec Niemiec; jest bowiem rzeczą oczywistą, że wówczas całe ciężar spadnie na Polskę a nie na dyskretnie pozostającą w cieniu Rosję. Gdyby przy tym Polacy nie podtrzymali z należytym entuzjazmem zgłaszanych w ich imieniu, ale na cudzy rachunek pretensji, cóż wówczas łatwiejszego jak zacząć głosić, że Polacy byli zawsze ukrytymi hitlerowcami, faszystami i germanofilami, bo oto wszyscy ofiarowują im ziemie niemieckie, a oni nie chcą ich brać.

Czy tak jest istotnie? Czy rzeczywiście np. opinia angielska jest przychylna daleko idącym zmianom terytorialnym na wschodzie Niemiec sięgającym, powiedzmy, po linię Nissy i Odry? Otóż stwierdzić należy, że w najlepszym razie opinia ta jest podzielona. W prasie angielskiej znajdziemy bardzo poważne głosy zdecydowanie przeciwstawiające się okrajaniu Niemiec zarówno na zachodzie, jak i na wschodzie. Do takich głosów należy artykuł „The Economist" z 7. października ub. roku p. t. „Między Renem a Odrą".

Autor zastanawia się, jak wyglądałaby sytuacja ekonomiczna Niemiec, gdyby istotnie nastąpiły daleko idące zmiany na wschodzie i zachodzie Niemiec i twierdzi, że Niemcy obcięte na wschodzie o Prusy Wschodnie, Pomorze (niemieckie), Śląsk i połowę Brandenburgii (co właśnie mniej więcej odpowiada linii Nissy i Odry) nie będą zdolne do normalnego życia ekonomicznego. Nie jest to nowa teza, jak wiemy, ale jak widzimy wypływa ona przy każdej sposobności.

„Trudno jest bowiem zrozumieć jakie mogą być intencje aliantów na daleką przyszłość wobec Niemiec, które znajdą się w stanie ekonomicznego upadku. Prawdopodobnie alianci nie przypuszczają, aby tak okrojone państwo mogło być całkowicie samowystarczalne. Być może, że gdyby tak zmniejszone Niemcy mogły swobodnie handlować z Europą i światem, mogłyby przynajmniej egzystować, ale są dwa powody dla przypuszczenia, że małe jest prawdopodobieństwo, aby zaistniały te normalne stosunki handlowe. Przede wszystkim żadne z europejskich państw nie zrezygnuje z pretensji do odszkodowań wobec Niemiec. Po drugie doświadczenia z Austrią z okresu po poprzedniej wojnie każą przypuszczać, że w nowoczesnych warunkach ekonomicznego nacjonalizmu sąsiadujące z Niemcami narody nie będą się kwapiły do ustalenia stosunków handlowych takich, jakie byłyby potrzebne dla zapewnienia narodowi niemieckiemu nawet bardzo skromnych warunków egzystencji. Niemcy mogą się stać tym, czym był Wiedeń w okresie między dwiema wojnami — krajem masowego bezrobocia, masowego niedożywiania i wiecznego politycznego napięcia. Czy tak rzeczywiście może brzmieć recepta na pokój?"

Jakiekolwiek komentarze mogłaby budzić wśród nas ta wzruszająca troska o „dożywianie" biednych Niemców musimy liczyć się z tendencjami opinii angielskiej, gdy słyszymy zachęty do szukania rekompensat za Wilno i Lwów nad... Odrą. Premier Arciszewski w niedawnym wywiadzie, ogłoszonym w „Sunday Times" oparł dlatego roszczenia terytorialne Polski na zachodzie na racjonalnych postulatach, dyktowanych wyłącznie racją stanu Polski a nie dogadzaniem intrygom Moskwy.

Belgrad widziany oczami Anglika

Skąpo przeciekają wiadomości z terenów wschodniej Europy, skąd wojska niemieckie wycofały się pod naciskiem sowieckim. Od czasu do czasu czytamy wprawdzie komunikat oficjalny, ale doskonale postawiony aparat propagandowy nowych władców wypuszcza w świat tylko wiadomości jednostronne, „zbyt piękne aby były prawdziwe". Tym większe zaciekawienie budzą nieurzędowe wypowiedzi bardziej bezstronnych obserwatorów.

Korespondent - fotograf popularnej na naszym terenie angielskiej *„Parade"* przebywał przez czas w Belgradzie wkrótce po opuszczeniu tego miasta przez Niemców. Informacje jakie podał (w numerze z 30. XII. 44) dotyczą stanu zniszczenia miasta, sytuacji żywnościowej, walk partyzantów; a oto co pisze o nastrojach belgradzkiej ulicy.

„Ustawicznie zatrzymują mnie na ulicy kobiety i mężczyzni, patrząc na mnie jakbym był kimś z innego świata i zasypują mnie pytaniami, czy przyjedzie więcej Anglików, zapewniając mnie przy tym, że zostaną jak najlepiej przyjęci. Na ulicach widać Rosjan w ich pikowanych zimowych mundurach szarozielonego koloru, w których musi być ciepło. Ich oficerowie wyglądają bardzo elegancko i zdają się tworzyć kastę zupełnie oddzielną od szeregowych. Widać również wielu Bułgarów starannie wyekwipowanych i dobrze się zachowujących, ale wyczułem, że obce wojska nie są zbyt popularne i że tubylcy chcą mieć kraj dla siebie."

„W nocy często słychać strzały wartowników uspakające w ten sposób swoje nerwy. Posterunki stoją przed każdym prawie budynkiem i w moim hotelu jest wartownik przed każdym wejściem."

Jednak warta jest widocznie czasem pobłażliwa ponieważ:

„Nieraz mój pokój jest nawiedzany (invaded) przez włóczących się Rosjan, ale szybko go opuszczają, gdy stwierdzą, że nie posiadam wódki."

„Life" o sprawach polskich

Popularny amerykański ilustrowany tygodnik *„Life"* poświęca w numerach z jesieni ubiegłego roku wiele miejsca polskim sprawom. Jeden z korespondentów tygodnika był w Polsce po okupacji lubelszczyzny przez wojska sowieckie; głównym celem jego wyprawy było obejrzenie miejsca kaźni w Majdanku, ale zetknął się również z ludnością polską Lublina.

„Popołudniu (rano autor był na odsłonięciu pomnika czerwonej armii na placu Unii Lubelskiej) odwiedziliśmy jedną polską rodzinę. Ojciec był właścicielem ziemskim, ani dużym, ani małym raczej średnim, miał około 300 hektarów o 20 km. na wschód od Lublina."

„Cała rodzina była strasznie zaniepokojona o wynik warszawskiego powstnia, ponieważ Rosjanie zawiedli i nie zajęli miasta. Było rzeczą oczywistą, że ojciec straci znaczną część posiadanej ziemi, ale wydawało się, że z tym się zgadzał. Wszyscy w rodzinie byli za poparciem polskiego rządu emigracyjnego w Londynie, natomiast jak i inni Polacy zajmowali stanowisko obojętne wobec popieranego przez Rosjan komitetu. Członkowie komitetu byli dla naszych gospodarzy ludźmi nieznanymi. Było rzeczą widoczną, że nasi gospodarze na coś czekali. „Na co"? zapytałem. Nikt nie odpowiedział mi wprost, wreszcie ktoś oświadczył: „ My wszyscy liczymy tak bardzo, że Amerykanie zrobią porządek". Odpowiedzieliśmy, że taki pogląd jest zbyt optymistyczny."

„Kapitan" Jerzy Borejsza (?) wydawca urzędówki „Rzeczypospolita" oświadczył Amerykaninowi:

„Chłopi są bardzo krytycznie nastawieni wobec Komitetu."

„Inni nasi rozmówcy (członkowie Komitetu) oświadczyli nam, że komitet codziennie spotyka się z jakimś biernym wybiegiem (passive shift); nie z aktywnym, ale właśnie z biernym przyjmowaniem stanu rzeczy."

Ten sam *„Life"* w numerze z dnia 28 sierpnia zamieszcza źródłowy artykuł o Polsce p. t. „Polska, ukochana ojczyzna Polaków, pionek wielkich mocarstw.problemat dla wszystkich".Autor, Jan Karski, oficer armii podziemnej, odznaczony za walkę w Kraju „Virtuti Militari". w zwięzłej i przystępnej dla Amerykanina formie podaje najistotniejsze wiadomości o Polsce. Artykuł ilustrowany jest doskonałymi zdjęciami.

W tym samym numerze doradca *„Life"a* od spraw zagranicznych Buell zamieścił jeszcze jeden artykuł o naszych sprawach p. t. „Czy Polska będzie wolna?". Autor doskonale charakteryzuje naszą pozycję wobec Niemiec i Rosji.

„Polacy w pewnym sensie są zarówno antyniemieccy jak i antyrosyjscy — nie chcą być pod panowaniem ani jednych, ani drugich. Polska nie chce przyjaźni z Rosją w tym sensie, aby ta przyjaźń miała oznaczać wcielenie Polski do Z.S.R.R. jako 17 republiki. Polska walczy o wolność tak samo, jak walczą Stany Zjednoczone, Francja i Wielka Brytania."

Czy Ameryka może poprzeć stanowisko Polski? Stanowczo tak, odpowiada autor.

„Jeżeli Ameryka nie nie zrobi, ażeby zapobiec śmierci Polski, narody świata nie będą miały zaufania w głoszone przez nas wolnościowe hasła, ani też wiary w nasze zdolności do kierowania światem."

Autor kończy twierdzeniem, że Rosja tak bardzo będzie potrzebowała pomocy Ameryki dla odbudwania kraju, że Ameryka może wzamian za ustępstwa w dziedzinie ekonomicznej stawiać skuteczne postulaty polityczne.

„Przerażenie w Rumunii"

Pod powyższym tytułem bukareszteński korespondent *„Time"* w numerze z 23 października ub. r. tak pisze:

„Dwa ważne pytania dominują dzisiaj w Rumunii: 1) jaka będzie polityka rosyjska. 2) jak daleko sięgnie wpływ aliantów na Bałkanach".

„Na pierwsze pytanie odpowiedź Rumunów jest charakterystycznie pesymistyczna. W najgorszym wypadku przypuszczają oni, że kraj ich stanie się republiką sowiecką; w najlepszym sądzą, że Rosja wprowadzi rząd komunistyczny, najprawdopodobniej drogą rewolucji. Co do drugiego pytania to Rumuni z dnia na dzień oczekują, że jakaś alianckа misja zajmie miejsce obok licznie obsadzonej ambasady sowieckiej.

„Nie może być żadnej wątpliwości co do szczerych sympatii proalianckich w Rumunii. Natomiast stanowisko Rumunów wobec Rosji ulega pewnym wahaniom: zanim Rosjanie zajęli Bukareszt Rumuni byli po prostu przerażeni. Tymczasem armia czerwona spokojnie przeszła przez miasto, pozostawiając w Bukareszcie tylko niewielkie oddziały. Ale potem weszło więcej z jednostek rosyjskich, które brały udział w walkach od Besarabii po Stalingrad i z powrotem od Stalingradu do Besarabii. Żołnierze, których zaopatrzenie równało się dotąd niemal minimum egzystencji znaleźli się nagle w kraju stosunkowo bogatym. Zaczęli rekwirować, niektórzy zaczęli grabić. Zaczęły się pijatyki i awantury z kobietami. Żołnierze rosyjscy znaleźli łatwy sposób na zaopatrywanie się w zegarki. Podchodzili do kogokolwiek na ulicy, zapytywali o godzinę, oglądali zegarek i jeżeli im się spodobał, zabierali go".

„Rozważnie myślący Rumuni i neutralni obserwatorzy w Bukareszcie rozumieją, że polityka armii czerwonej nie reprezentuje polityki Moskwy. Ale oni mają poważniejsze troski, dalej idące aniżeli zwykły pesymizm .

Do tych trosk należą obawy o sytuację ekonomiczną Rumunii, ale przede wszystkim na pierwsze miejsce wysuwają się sprawy polityczne.

Omawiamy je jednocześnie na innym miejscu niniejszego numeru.

Trudności z Blokiem Zachodnim

Korespondent dyplomatyczny *„Daily Herald"* Ewer pisał:

„Panuje niebezpieczne nieporozumienie co do idei, że kraje zachodnio-europejskie powinny przystąpić do pewnego rodzaju układu regionalnego w zakresie problemu bezpieczeństwa i innych jemu pokrewnych zagadnień. Ewer atakuje komentatorów amerykańskich za przypisywanie W. Brytanii planów przywrócenia równowagi sił i oświadcza, że żaden plan brytyjski w tym zakresie nie istnieje. Korespondent dyplomatyczny dodaje, że idea pewnego porozumienia regionalnego na zachodzie Europy w ramach ogólnego systemu bezpieczeństwa, uzgodnionego z Rosją i innymi narodami zjednoczonymi Europy, jest starą koncepcją. Była ona przedmiotem dyskusji z Rosjanami, którzy zajęli stanowisko przychylne w stosunku do podobnej koncepcji w 1941 r. W miarę, jak zbliża się koniec wojny i wyzwolenie krajów zachodnich, podjęto naturalnie nowe koncepcje i nowe rozmowy na ten temat — lecz wszystkie dyskusje jak dotychczas, mają charakter przedwstępny i ogólny. Żaden plan nie powstał".

Prasa brytyjska daleko jest od jednomyślności w tej sprawie. *„Manchester Guardian"* pisał mianowicie, że niewątpliwie ściślejsze stowarzyszenie zachodniej demokracji przyniesie wiele korzyści natury militarnej i ważne korzyści gospodarcze, byle tylko państwa wchodzące tu w grę gotowe były zmienić politykę gospodarczą, którą prowadziły od ostatnich 26 lat. Pewien stopień współpracy wojskowej między W. Brytanią, Francją i innymi sąsiadami Niemiec na zachodzie będzie w każdym razie zasadniczą częścią planu zjednoczonych narodów, zmierzającego do zapobieżenia przyszłej agresji ze strony Niemiec, aczkolwiek musimy przyznać, że pakt regionalny sam przez się nie tamuje niemieckiej agresji ani nie zapobiega agresji ze strony innego państwa. Rozważając taką współpracę, musimy jasno zdawać sobie sprawę, dokąd chcemy zmierzać. Czy powinniśmy na przykład podzielić Europę na dwa regiony, zachodni i wschodni? A jeśli tak, to do której części wejdą Włochy, Austria, a przede wszystkim Niemcy? Czy zachodnia grupa mogłaby obejmować narody, które teraz lub później uważałyby za swą linię wytyczną zajmowanie stanowiska przede wszystkim antykomunistycznego a następnie antyrosyjskiego? Doktryna grup regionalnych, która wydaje się tak atrakcyjna na pierwszy rzut oka, zawiera w sobie pewne niebezpieczeństwa.

Czy naprawdę istnieją naturalne grupy tego rodzaju? Europa nie może być dzielona na dwie części i do Europy jako takiej wchodzić musi Rosja, której terytoria rozciągają się do Pacyfiku. Jest wiele do powiedzenia o każdym posunięciu, które by zmierzało do uszczuplenia suwerenności narodowej na rzecz szerszego zjednoczenia, lecz celem musi być zawsze zjednoczona Europa dająca pełne prawo do życia mniejszym narodom, w niemniejszym stopniu niż dużym mocarstwom. Byłoby zgubnym paradoksem, gdyby pierwszym skutkiem takiego zjednoczenia był podział Europy na dwie wrogie grupy, które nieuchronnie ubiegałyby się o poparcie Niemiec po ich dojściu do sił. Byłoby to współzawodnictwo, do którego drastyczny podział Europy mógłby jedynie pobudzać. Stare przysłowie: pół bochenka stanowi więcej niż zupełny brak chleba — nie da się zastosować do żywych organizmów. Lepiej jest przyjąć plan Dumbarton Oaks takim jakim się on przedstawia, raczej niż wzmacniać go dwoma blokami europejskimi, których cel mógłby kolidować z ideą Europy, w jakiej uleczone i zreformowane Niemcy mogłyby ewentualnie zająć miejsce".

„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" w artykule p. t. „Regionalizm międzynarodowy" stwierdzając pożytek regionalnych układów podkreśla, że nie mogą one powstawać pod presją, pochodzącą z zewnątrz, tworzyć zespoły, w którym jeden z partnerów dominowałby nad innymi zagrażać życiu społecznemu na obszarze szerszym od jednego regionu, zmierzać do samowystarczalności gospodarczej, ani prowadzić do regionalnego egoizmu skierowanego przeciw współpracy wszystkich narodów. A nade wszystko strzec się należy, by nie przerodziły się one w sfery odrębnych interesów i nie wciągnęły słabszych narodów w gospodarczą i społeczną orbitę wielkich mocarstw.

Od redakcji

Za nadesłane życzenia świąteczne i noworoczne redakcja „Orła Białego" składa serdeczne podziękowania.

Ofiary

Awansowani i nowomianowani Oficerowie Batalionu Łączności z okazji awansu — zamiast urządzenia przyjęcia dla kolegów w kasynie — złożyli na ręce Dcy Baonu kwotę £ 35 s 10 d 0 (słownie trzydzieści pięć funtów, dziesięć szylingów) z przeznaczeniem na pomoc ludności Warszawy i Pruszkowa.

Wydawca: Oddział Prop. i Kult. Armii Polskiej na Wschodzie Tłoczono w Ciężkiej Drukarni Polowej A. P. W. Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 58